1. Sierpnia. **Nr. 35.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

Z podróży

przez

J. GORDONA.

(Dokończenie).

Po kilkugodzinnej podróży sznur wagonów stanął w romantycznej dolinie pomiędzy górami. Wśród doliny rzeka — po nad brzegiem białe domki przeglądające się w wodzie jak łabędzie — samo miasto i piękne i schludne — zowią je Heidelberg.

Na górach rozpinała się wdzięcznie winna latorośl — u ich stóp słaniały się obłoczki — z wierzchu wychylały malowniczo z pomiędzy winnic zwaliska sławnego zamczyska, łudzącego oko ogromem, fantastycznie szczerbatemi murami, na których piętrzyły się uśmiechające drzewa i powoje. Jakże to czarowny krajobraz!

Artyści spojrzeli na siebie i zrozumieli się wzajem.

Nie upłynęło pół godziny, gdy dziewica o kruczych włosach, córka jakiegoś zmarłego pułkownika niemieckiego, uprzywilejowana cyceronka zwalisk heidelbergskich, oprowadzała Bolesława i Henryka po zbrojowniach, zapadłych krużgankach, ciemnych korytarzach ruin, i opowiadała z dowcipem historję feudalnych baronów, ukazując na basztę w gruzach, gdzie głodem morzono i głodową śmiercią umierać kazano.

— I nie nudzi się też pani — rzecze na odchodnem Bolesław — w tych opuszczonych, omszałych rumowiskach, gdzie każdy kamień przemawia o smutnych pamiątkach przeszłości?...

— Nie zaiste — odpowie z uśmiechem — ja przenoszę piękną ruinę nad lada jaką budowę.

Dresden! zawołał konduktor, otwierając drzwiczki wagonu, z którego wysiędli nasi pielgrzymi. Ujrzeli się oni w stolicy saksońskiej. Cóż to za przemiana dla nich!

Niedawno Paryż — obecnie Drezno. Paryż i Drezno... dwa miasta typowe, każde z nich ma swój zgiełk odrębny, charakterystyczny. Pierwsze, ognisko hałaśliwej rozkoszy; drugie — ustronie spokoju i łatwego bytu.

Bolesław w tem ostatniem pozostawił niegdyś część życia swojego, a tysiące różnorodnych wspomnień cisnęło się teraz bezładnie do jego duszy. Wskoczywszy ze swym kolegą do najbliższej dorożki, gdy ta się potoczyła po ulicach niemieckiego grodu, ukazywał mu miejsca będące świadkami miłych, a często i cierpkich chwil jego przeszłości.

Tam, na wyniesionym tarasie panujący nad Elbą błogo on przed laty marzył i myśli swe przelewał na papier; — dalej, na smętarzu żegnał zwłoki zasłużonego Ojczyźnie męża, zanim rzucono garść ziemi na trumnę jego, — owdzie na placu przed kościołem katolickim, bywało witał co ranek tłumy rodaków, ściganych przez zawistnych Bergów i Murawiewów, co się tu zatrzymali byli jak zbłąkani wygnańcy na rozstajnej drodze.

W sakwach owych pielgrzymów była krwią zbroczona garść ziemi ojczystej, aby nią zimna dłoń obca przysypała im spiekłe od łez źrenice. Zaledwie dozwolono im było dotknąć stopą niemieckiego kraju, gdzie zamało miejsca na kartofle, cóż dopiero na ludzi?

Na ten raz na placu uwijały się same cudzoziemskie postacie, nieznane oblicza; nie słychać było współziomków mowy — apostołowie ci narodowi rozeszli się po świecie... i jakaś nie dająca się wyrazić tęsknota zawisła tu na murach, a smutki szły za wędrowcem.

Dorożka zatrzymała się przed domem ocienionym drzewami na przedmieściu Loschvitz.

— Nie wiadomo przypadkiem pani, czy księżna Kamila jest u siebie? — zawołał Bolesław do wychodzącej gospodyni z bramy.

— Ach! to pan... tak dawno nie widziany... witam z podróży... ale czyż to pan nie wie, że przezacna nasza księżna od kilku miesięcy wyjechała do Szwajcarji — mieszka w Solurze?

Bolesław zadumał chwilę.

— Czy nie dozwoliłaby nam jejmość spocząć trochę w jej dawnem mieszkaniu, jeśli nie zajęte?

— O najchętniej, najchętniej, proszę z sobą!

Mieszkanie do którego weszli trąciło pustkowiem — porozrzucane meble stały pod zblakłymi pokrowcami — kurz osiadł na oknach i na marmurowym kominku, skazówki na zegarze nie poruszały się wcale — portrety rozwieszone na ścianach jakoś smętno patrzały ze złoconej ramy — aloesy w wazonikach, dobroczynną niegdyś pielęgnowane ręką, obwisły jak wierzby płaczące — i skrzypiała odarta z dywanów posadzka pod stopami przechadzającego się Bolesława.

Przystawał on przed niektóremi przedmiotami, zdawały się coś mu przypominać; ktoby się zaś w niego dobrze wpatrzył, dostrzegłby był, że choć milczący, obcuje przecież z niewidzialnemi istotami, które przyzywał twórczą siłą wyobraźni, potęgą ducha swojego.

— W tym salonie — rzekł do Henryka — pamiętam — wrzało tętno życia — ztąd rozchodziły się w cichości ofiary, jakie ten tylko ocenić zdoła, kto Chrystusa nosi w sercu. Dziś, niestety! wszystko tu pyłem okryte, jak relikwiarze przeszłości naszej. Żałuj Henryku, iż nie znałeś księżnej!

— Nie znałem jej wprawdzie osobiście, ale znam z poświęcenia. Jako prawdziwa Polka poniosła na ołtarz rozkrzyżowanej Ojczyzny nie tylko siebie, całe swoje mienie, lecz i to co kobieta ma najdroższego: własne dzieci. To ofiara Abrahama!

— I dodaj, że doznała za nią tysiące upokorzeń od kasty w której miała nieszczęście się urodzić — a co większa, że zniosła te upokorzenia bez szemrania, z szlachetną godnością, jako osoba czyniąca dobrze dla dobra, głosząca prawdę dla prawdy, nie dla pozorów, nie dla czczych kadzideł.

— A dziś — ozwała się gospodyni domu — opuszczona wygnanka pracuje w pocie czoła na chleb powszedni w małem miasteczku, w cieniu skał szwajcarskich, w tej samej Solurze, gdzie nagrodzony przez cudzoziemców Kościuszko spoczął po trudach i znojach.

Na te słowa powieki Bolesława oblekły się purpurową obwódką. Wyjął z kieszeni pulares, wydarł zeń kilka kartek i podał je Henrykowi z prośbą, aby skreślił za dyktandem notatkę treści następującej:

›Byłem naocznym świadkiem, jak księżna Kamila spieniężywszy bransoletki i inne kosztowności, ostatnie pamiątki po matce swojej, zebraną za nie kwotę przesłała do Poznania na uwolnienie więźniów stanu.

Widziałem jej radość, ilekroć razy dzieliła się swym skromnym obiadem, własną przyrządzonym ręką, lub ustępowała go całkowicie nieszczęśliwym braciom, sama im służyła do stołu. Wedle niej: ›gość w domu, Bóg w domu!‹

›Raz przyniosłem jej gazetę. — O! nie potrzebuję jej czytać — zawołała — wiem i bez tego, że stan sprawy naszej pogorsza się niestety.‹

— Zkądże ta wieszczba? — zapytałem.

— Nie jestem wieszczką, ale mam swój polityczny barometer: dziś naprzykład będąc w mieście, skoro spotkałam się z jaśnie wielmożnymi rodakami, ukłony ich były chłodniejsze od tych, którymi mię darzyli gdy nadzieja dla Polski wyraźniejszą się stawała. O! to barometr nieomylny.

›Księżnę Kamilę porównać można do matek Spartanek, silnych wysoką rezygnacją. Pewnej nocy ułożyłem był plan wydarcia synów jej z kleszczy moskiewskich. Uszczęśliwiony zamiarem przybiegam do niej z rana z przedstawieniem: że ponieważ miejscowość w Syberji, dokąd zagnani zostali, jako i język moskiewski są mi dobrze znane, ułatwienie im ucieczki uważam za rzecz zbawienną — i że powrócę dzieci na jej łono, byle mi dała na to słówko upoważnienia.

›Wysłuchawszy mię zamyśliła się głęboko — w piersi nieszczęśliwej matki zerwała się walka — była ona straszliwą, skoro odbiła się na licu. Po wstrząśnieniu nastąpiło długie milczenie, a potem święty spokój rozlał się na jej pogodnem czole.

— Nie! — rzecze tonem łagodnym acz stanowczym — panu się tak narażać nie wolno — błagam, nie wspominaj mi więcej o swym zamiarze.

Opuściwszy dom księżnej Kamili, towarzysze ujrzeli się w galerji obrazów, w apartamencie Madony sykstyńskiej. Zasiadłszy tam na kanapie, spędzili na melancholiczno-religijnem rozmyślaniu godzin parę. Oczy ich były wlepione w rozpostarte przed nimi płótno, na którem Rafael wyobraził ideał najwyższego piękna, ideał boskości, dziewicę matkę, królowę nieba, królowę niewiast, taką jaka się objawiła jego geniuszowi.

Madona w orszaku aniołów, nucących pieśni wesela wiecznej miłości, zstępuje z czystych niebios na ziemię pogrążoną w chmurach. Wiatr unosi jej jasną zasłonę i leciuchne szaty. Na ręku pieści dziecię, którego spojrzenia świat lubo witają — a cudowne oczy świętej dziewicy pałają nadprzyrodzoną potęgą i mieszczą tyle myśli i tyle uroku, że ten kto raz w nie spojrzał, całą w nich utopił duszę.

— A co? — uspokoiłeś się Henryku. Te oczy, to balsam na zbolałe serca rany! Nie prawdaż?...

— Rzeczywiście, dziwny spokój mię ogarnął, odkąd tu jestem. Czarowna geniuszu sztuka!

— A teraz do Polski mój bracie, do Polski!

— Obyśmy się tylko nie rozczarowali!...

Koniec.

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

AKT V.

(*Pomieszkanie Konstantego jak w akcie III. i IV. w scenie 1.*).

Scena I.

ZOFJA (*sama*).

Gdzie on tak bawi? ach, dzisiaj minuta
Bez Konstantego, dla mnie, to męczarnia!
Z jego odwagi nadzieja wysnuta,
To tylko trzyma, gdy mię strach ogarnia.

(*Siada*).

Z moim się czynem i liczę, i liczę,
A ciężar jego coraz mocniej spada!
Bo czyliż mogę stanąć przed oblicze
Boga, gdy matka woła może: biada!

(*Pani Nałęcz wchodzi i staje u progu*).

Bo choć przed Bogiem jak dawniej, ja biała,
To mi brakuje matki przebaczenia.

Scena II.

ZOFJA, PANI NAŁĘCZ.

PANI NAŁĘCZ.

O! dziecko moje!

ZOFJA

(*zwraca się nagle i rzuca się ku Pani Nałęcz z okrzykiem*).

Matko! (*po chwili*) Wołasz, jakbyś chciała
Przebaczyć, skończyć już moje cierpienia!

PANI NAŁĘCZ.

O, wierz mi Zofjo, to nie matki chęci,
Nie matki serce zapoznało ciebie;
Lecz są na świecie ludzie tak przeklęci,

Którzy umieją i w powszednim chlebie
Podać truciznę, nie tylko młodości.
Złote nadzieje i góry ze złota,
A spotwarzanie najświętszej miłości,
Oto tych ludzi nieszczęsna robota.

ZOFJA.

Jam przeczuwała, że w twym matko głosie
Nie twoja wola i nie twoje słowa,
Żeś nie tak chciała, ty, o moim losie
Stanowić, nie tak, że to ich namowa.

PANI NAŁĘCZ.

Tak, to ich rada.

Scena III.

ZOFJA, PANI NAŁĘCZ, KONSTANTY.

KONSTANTY (*wchodzi i nie doszedłszy do połowy sceny zatrzymuje się nagle i mówi*).

Jej matka... tu, pani?

PANI NAŁĘCZ.

Tak, tu przybywam na wszystko gotowa.
O! miałeś słuszność, że młodzi wybrani;
Jam przebaczyła.

ZOFJA.

Przebacza i kocha.

KONSTANTY.

Ależ... com słyszał tutaj przed godziną...

PANI NAŁĘCZ.

Mogłam na córkę powiedzieć, że płocha,
Że świat okropną obciąży ją winą,
Mogłam to wszystko, rozżalona, biedna,
Ale to tylko Konstanty przed tobą;
I matka tylko, matka sama jedna
Mogła się z taką odezwać żałobą.
Otoż tę matkę dzisiaj obudzono
Ze snu strasznego. — Córki spotwarzeniem,
Jak gdyby węgli żarzących na łono
Sypią, i budzą, — ale z przebudzeniem
Poznaję ludzi; dobrze to znać ludzi;
I wy ich znajcie: — Pan Adam na czele,
Przyjaciel domu, pierwszy ten dom brudzi;
On, twe Konstanty ganiąc ostro cele
Przed ojcem twoim, przedemną — szkaradnie!
A za nim wszystko Złotkowski powtarza,
O! skarz ich Boże!

KONSTANTY.

Nim święty grom spadnie,
Wpierw ich zapłata moja poprzeraża! —
Więc to przyjaciel? Ha! czekaj gadzino,
Toś ty starcowi pozwolił brać dziecię,
Boś bał się nędzy — a gdy drudzy giną
Dla świętej rzeczy, to twój język miecie
Plugastwa na nich!

(*Chce odejść*).

ZOFJA.

Konstanty, co tobie?

KONSTANTY.

Jedź Zofjo z matką.

ZOFJA.

O ciebie się trwożę.

KONSTANTY.

Ty bądź spokojna, ja na szczęście robię;
Wszak Bóg pomagał, to jeszcze pomoże.

(*Żegna Zofją i matkę i wychodzi śpiesznie*).

Scena IV.

PANI NAŁĘCZ, ZOFJA.

ZOFJA.

Mam być spokojna?...

PANI NAŁĘCZ.

Bądź, ja mu już wierzę.

ZOFJA.

To dobrze matko, zajmuj się mym losem,
Ale na rozkaz spokój się nie bierze.

PANI NAŁĘCZ.

Już złe minęło.

ZOFJA.

Ach! co zrobić z głosem,
Który jest w sercu?

PANI NAŁĘCZ.

O! ucisz go, ucisz,
I prędzej jedźmy. Konstanty nas w domu
Zastanie, pójdźmy. — Czegoż ty się smucisz?

(*Podaje rękę Zofji i zwracają się ku wyjściu, w tej chwili wchodzi radca*).

Scena V.

PANI NAŁĘCZ, ZOFJA, RADCA.

ZOFJA (*do matki*).

O! nienaprózno jam się bała gromu.

RADCA (*monotonnie*).

Niech to nie dziwi, przychodzę do syna.

PANI NAŁĘCZ.

Tak? — idźmy Zosiu!

RADCA.

Pani z łaski tyle
Zrobi, i zechce — bo ważna przyczyna —
Zostać bez córki.

PANI NAŁĘCZ (*do Zofji*).

Zosiu, ja za chwilę
Wrócę do domu. Ty, jedź i z powrotem
Odsyłaj powóz.

ZOFJA.

Co mię czeka? — Boże!

PANI NAŁĘCZ.

A wierz mi teraz.

(*Pożegnanie. Zofja wychodzi*).

Scena VI.

PANI NAŁĘCZ, RADCA.

RADCA (*zimno*).

Wie pani, ja błotem
Zwalany jestem a w piersi mam noże;
A zkąd się błoto na starym łbie wzięło,
I kto te noże w serce mi powbijał? —
To twojej córki, mojej żony dzieło,
Której pan Adam i po ślubie sprzyjał;
Ja byłem ślepy.

PANI NAŁĘCZ.

Kłamstwo, kłamstwo starcze!

RADCA

Gdyby to kłamstwo — nie takby bolało,
Gdyby to tylko tak, głosy potwarcze...
Lecz ja wiem, mówię! — Potem, co się stało,
Pojmuje pani? ja syna upomnę;
Już mi nie idzie z kim on się ożeni,
O stanowisko... lecz niech mu przytomne

Zdarzenie będzie, niech on sam oceni
Cnoty rodzinne.

PANI NAŁĘCZ.

Syna twego bronię! —
Zofja mu wierna, — ale ty milcz stary!
Tyś mego dziecka skaził młode skronie
Zimnym oddechem, truciznę niewiary
Szczepił w to serce, i biedna Kamila
Padła ofiarą, — bo matkę uwiodły
Perswazje twoje!

RADCA.

Może była chwila...

PANI NAŁĘCZ (*przerywając*).

Co, nierozwagi? — O! jakżeś ty podły,
Wy wszyscy podli z tym rozumem wieku,
Którzy praktyczność szczepić w matki chcecie. —
Ja teraz śpieszę, boś gotów człowieku
Syna tu zgubić — a jego me dziecię
Kocha. O! śpieszę.

(*Wychodzi szybko*).

Scena VII.

RADCA (*sam*).

Takie pożegnanie.
A jak mię teraz, jak mię syn powita? —
O! sam zabiłem ku mnie przywiązanie,
Raz, przez kobietę, następnie nie syta
Dostojeństw żądza tyle blizn zadaje!
A ja sam teraz... starzec oszalały...
Ze stanowiskiem... a tu nad tem staje
Jakieś uczucie, coś, co nie chce chwały,
Ni dostojeństwa, tylko krwi, krwi woła!

(*Po chwili*).

A tyloletnie zabiegi i praca
Dla stanowiska, to nic? — Czyliż zdoła
Ta myśl, tak dzika, co mi mózg obraca —
Zmysły pomięszać! — O! nie, nie! toż przecie
Gardzić człowiekiem, co nie z własnej woli
Jest pohańbiony, co zasługi w świecie
Położył jakieś — sam Bóg nie pozwoli. —
Ha, ale krzywda wyrządzona boli!
Ale śmiech świata... Przeklęta godzino!
Jakkolwiek myślę, wszystkie myśli giną...
Na domiar wchodzę, ja — co się zakląłem,
Tutaj, do syna, z uniżonem czołem.

Scena VIII.

RADCA, KONSTANTY.

KONSTANTY (*wchodzi*).

Ojciec, on tutaj?!

RADCA.

Ojciec nieszczęśliwy.

KONSTANTY.

A syn szczęśliwy?

RADCA.

Przed chwilą słyszałem
Z ust pani Nałęcz sąd dla cię życzliwy.
Teraz ja niczem, a ty ideałem.

KONSTANTY.

Ja ideałem a ty ojcze niczem?
I jeszcze, nowe, dotkliwe szyderstwa! —
Ty coś mię nazwał swojej hańby biczem,
Który zmusiłeś mię do przeniewierstwa
Własnym zasadom, że poszedłem krzywo,
Ażeby wydrzeć starcowi ofiarę —
Po co przychodzisz? — By nazwać szczęśliwą
Chwilą, tę chwilę, gdy obmyślam karę!
Bo choć i matka już chętnie zezwala,
To czyż ja mogę, przez mój czyn, lecącej
Potwarzy słuchać, co kochankę kala? —
Ty nic znasz krzywdy jad w serce lejącej.

RADCA (*nagle*).

Ha! ha! ja nie znam!

KONSTANTY.

Czemuś ojcze blady? —
Ojcze, o! ojcze, nie jesteś bez winy!
W tej matki słowach ja poznałem ślady
Twojej namowy. — Twoje to są czyny,
Że moje szczęście dziś już, już tak blizko,
A tak dalekie... Potwarcę wyzwałem!
Tyś mi zaś może niósł znów stanowisko?

RADCA.

O! nie, żadnego; nie nazywam szałem
Od dziś twej woli.

KONSTANTY.

Ha! to dziwna zmiana.

RADCA.

Synu! przyszedłem ja twojej litości
Prosić dla siebie. Twojej duszy rana
Większa, to prawda, niż do twej miłości
Prawo jest moje... ale ja katusze
Znoszę okropne!... Ja jestem shańbiony! —
Oto się nasze teraz schodzą dusze. —
Synu, ty nie wiesz co to jest od żony
Być oszukanym! Pomścij, pomścijże mnie,
Przyrzeknij zemstę!

KONSTANTY (*zamyślony*).

Recz konieczną słyszę.

RADCA.

Ty lepszy jesteś stokrotnie odemnie,
A i w twem sercu teraz zemsta dysze.

KONSTANTY.

A kto... ten człowiek?

RADCA.

Twój przyjaciel synu,
Tak, tak, to Adam!

KONSTANTY.

Ha, ha, ha, — sam szatan
Tak potwornego nie wymyślił czynu,
W jaki co chwila ja jestem oplatan!
Jegom — ja, wyzwał.

RADCA.

On, także? to w porę.

KONSTANTY.

O! cicho, ojcze!

RADCA.

On to złego sprawcą.

KONSTANTY (*nie zważając na to co mówi radca.*)

Ha! jaka męka, mieć taką pokorę,
Która cię robi nieprzyjaciół zbawcą.

RADCA.

Synu, co mówisz?

KONSTANTY.

Co mówię, świat czuje,
Choć takiej męki świat się nie lituje.

Scena IX.

RADCA, KONSTANTY, ADAM.

(*Gdy Adam wchodzi, radca siada i chowa głowę w dłoniach*).

ADAM (*do Konstantego*).

Staję wyzwany, i nadspodziewanie
Rychlej, niż chciałeś. — Świadkowie w ogrodzie. —

A! i pan radca? — Nie sądźże mój panie,
Że z panem kiedy myślałem żyć w zgodzie,
Nie, bo ja kocham, wyznaję otwarcie.

KONSTANTY.

Dziwna to miłość.

ADAM.

Wiedziałem i o tem,
Lecz widząc oraz, że dziś tak zażarcie
Walczyć potrzeba, gdy miłości złotem
Poprzeć zkąd niema — rzekłem sobie tedy:
Panna Kamila niech trochę zaczeka,
Aż mię śmierć ciotki wyratuje z biedy,
Abym mej żonie mógł, oprócz człowieka
Kochającego, dać także dostatek. —
Ale tymczasem pan radca pospieszył. —
Ja, wiedząc dobrze, że dzisiejszy światek
Śmiercią bym moją poprostu rozśmieszył,
Wolałem czekać, niż przeciw prądowi
Płynąć i zginąć! W dziewiętnastym wieku,
W mowie pośmiertnej wyśmiać by gotowi
Śmierć dla kochanki, lub miłość w człowieku,
Ot — dla idey, — a mnie na co tego? —
Teraz wyzwany, to rzecz honorowa...
O łut krwi idzie... w tem nie ma nic złego,
Bo przecie sądzę, nie spadnie mi głowa?
Mówiłem prawdę, prawda nie spotwarza, —
Zresztą, coż złego? to światowe rzeczy,
Któremi tylko, wierz, gmin się obraża,
Albo dewotka stara na nie skrzeczy.

KONSTANTY.

Szkoda, że taki nędznik ma paść trupem,
Ma, z ręki mojej! (*Do Adama*). Wychodźmy raz panie!

(*Wychodzi naprzód, za nim Adam*).

Scena X.

RADCA (*sam*).

Nie dopuść Boże, aby syn mój łupem
Był przeciwnika, i śmierci, co stanie
Pomiędzy nimi...

(*Zwracając się nagle od stołu, biegnie*).

Czekajcie, ja biegnę!
Jam tu zawinił, niechaj ja polegnę.

(*Chce wyjść, wtem wchodzi Pani Nałęcz i Zofja*).

Scena XI.

RADCA, PANI NAŁĘCZ, ZOFJA.

ZOFJA.

Gdzie jest Konstanty?

RADCA.

Ja sam jestem w trwodze...
Tam — pojedynek, o pójdźcie!

(*Wychodzi spiesznie*).

ZOFJA.

O Boże!

(*Słychać wystrzał*).

ZOFJA (*upada na ziemię z okrzykiem*)

A!...

PANI NAŁĘCZ (*pochylając się ku Zofji*).

Moje dziecko! — O, jakże mię srodze
Pokarał Pan Bóg! (*Do Zofji*). Tam Pan Bóg nie może
Karać niewinnych.

Scena XII.

ZOFJA, PANI NAŁĘCZ, ZŁOTKOWSKI, KAMILA.

(*Kamila wszedłszy zbliża się do Zofji*).

ZŁOTKOWSKI.

Słyszeliśmy strzały
W opustoszałym tego domu sadzie, —
Co się tu dzieje, kto i z kim tu w zwadzie?
I to ogniowej!

Scena XIII. i ostatnia.

ZOFJA, PANI NAŁĘCZ, ZŁOTKOWSKI, KAMILA, RADCA, KONSTANTY, ADAM.

(*Kamila usuwa się w głąb' gdzie stoi Adam. Radca wspiera Konstantego tak, że go prawie wnosi i kładzie rannego na sofie. — Zofja staje i przyklęka zaraz u głowy Konstantego*).

RADCA (*wchodząc*).

I nieba nie dały
Zemsty, lecz nędzę.

ADAM (*w głębi do Kamili*).

Pójdź, pójdź, wyjedziemy
Z miasta i z kraju!

(*Wskazując Konstantego*).

To, nie moja wina.

(*Wychodzi z Kamilą*).

ZOFJA (*do radcy*).

Ratuj go panie! czemu stoisz niemy?

(*do Konstantego*).

O! ty żyć będziesz!?

KONSTANTY.

Chcę... chcę... o! jedyna...
Choć w życiu'm... nie... znał się... z człowiekiem — bratem,
Jeden... niewolnik... a drugi... jest katem!...

KONIEC.

CZWARTY LIPCA W BOSTONIE

czyli

PRZYGODY BEN'A JONES

przez

H. TRUSTA.

Tłumaczyła T. D.

(Dokończenie).

Ben zadzwonił.

— Czy Szymon Jones jest u siebie? — zapytał. — Służąca Irlandka, popatrzyła na niego ze zdumieniem i odpowiedziała:

— Niema nikogo tego nazwiska w domu.

— Powiadam pannie, że jest — odrzekł Ben — ja jestem kuzynem jego i przyszedłem, żeby się z nim widzieć. Służąca powtórzyła, że Szymon Jones tu nie mieszka, a mówiła tak szybko, że Ben nie zrozumiał ani słowa z tego co mu powiedziała. To też miał już zamiar wtargnąć przemocą, gdy druga kobieta wyszła i oznajmiła mu, iż Szymon Jones wyprowadził się i mieszka obecnie na ulicy A.

— Czy to ztąd daleko?

— Prawie trzy ćwierci mili.

— Do licha! — zawołał Ben — nie szczęści się nam. Rachowałem na to, iż go tu znajdę — i otoż dzieci moje tak są zmęczone, że nie wiem czy dojdą tak daleko.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Nie chciała by ją nudzili jacyś parafianie w dniu takim jak czwartego lipca. Nie poczęstowała ich nawet szklanką zimnej wody, ale powoli drzwi zamknęła i wróciła do swego pokoju.

— Tak? — zawołał Ben. — Pomimo to ja tu spocznę, ponieważ Szymon tu mieszkał. Jest trochę cieniu i możemy sobie tu usiąść.

— Dałbym nie wiedzieć co za nasze stare wiadro pełne wody ze źródła.

— I ja także — rzekła żona. — Zdaje mi się, że topnieję.

— Jestem pewny, że byłoby mi jeszcze dosyć gorąco w mojej kurtce — zagadnął Ben — i będzie to prawdziwe szczęście, jeśli potrafię kiedy wydobyć się z tego fraka, jestem w nim ściśnięty jak rak morski.

— Mamo, mnie okropnie gorąco — rzekła dziewczynka! i zaczęła płakać.

Benny wyraził swe zdanie osobiste o upale, zdejmując i rzucając nowy kapelusz, który się stoczył ze schodów ganku.

Zdawało by się, patrząc na główkę Benny, że jasne kędziory jego tylko co wyszły z wody.

— Zdaje mi się, iż dobrzebyśmy zrobili, gdybyśmy poszli dalej — rzekła pani Ben. — Upał coraz się powiększa, a ludzie patrzą na nas jak na złodziei.

Puścili się więc w kierunku ulicy A.

Stary zegarek, po bardzo mocnem potrząsaniu okazał godzinę jedenastą. Słońce rzucało palące promienie na czerwone mury, wzdłuż których wędrowali nasi przyjaciele, przejmowało ogniem powietrze którem oddychali i rozgrzewało ceglane chodniki do tego stopnia, że smażyły nogi przechodniów. Dzieci płakały i nie chciały dalej iść. Co tu robić? Ben był zmuszonym nieść chłopca i torbę, a pani Ben dziewczynkę.

— Do licha — zawołał Ben — któremu pot spływał strumieniem po policzkach, nigdy nie czułem takiego gorąca. Wolałbym tysiąc razy być w tej chwili na górze naszej i gromadzić siano, a jednak i tam djabelnie gorąco.

Pani Ben była karmazynową. Szczęściem, dzielnie umieli chodzić piechotą, wkrótce też doszli do ulicy A. Znalazłszy dom, zadzwonili znowu.

— Czy pan Szymon Jones tu mieszka? — spytał Ben.

— Tak, ale jest nieobecnym.

— A żona jego?

— Wyszli razem i wrócą wieczorem.

— To mi dopiero prawdziwe niepowodzenie — rzekł Ben. — Jestem jego kuzyn Ben Jones; przybyliśmy, żeby mu oddać wizytę i zobaczyć sztuczne ognie. Trzeba koniecznie, żebyśmy weszli trochę spocząć, inaczej nic z nas nie pozostanie do odwiezienia do domu.

— Wejdźcie państwo, wejdźcie — rzekła dziewczyna śmiejąc się, i otworzyła drzwi ładnego saloniku świeżego i ciemnego. — Czy państwo pozwolą sobie czem służyć?

— Dzieci chętnie napiłyby się wody — rzekł pan Ben.

Uprzejma dziewczyna przyniosła karafkę wody z lodem.

— Bądźcie państwo ostrożni — rzekła — i nie pijcie nadto kiedy wam tak gorąco. Wiele osób umarło z tego, że piły będąc w tym stanie.

Rada była rozsądną i rozsądnie znaleźli się nasi przyjaciele usłuchawszy jej.

— Bardzobym chciała przyjąć państwa obiadem — rzekła dziewczyna. — Szkoda że pan Jones nie znajduje się w domu. Czy będą państwo jedli chleb z serem? Nic więcej nie mamy obecnie w domu.

— Tak, tak, to najlepsze ze wszystkiego — rzekł Ben.

Po tej przekąsce, Ben zasunął się głębiej w swoim fotelu i zasnął; dzieci były tak zmęczone, że nie pomyślały o zabawie, lecz zasnęły natychmiast na kobiercu. Matka widząc wszystkich zadowolonych, poszła za ich przykładem i zasnęła także.

Każdy obudził się w stanie doskonałego wypocznienia; lecz Ben zaczynał czuć potrzebę pożywniejszego pokarmu, po trudach w tym dniu poniesionych.

— Zdaje mi się, — rzekł — że dobrze byśmy zrobili, gdybyśmy poszli gdzie na obiad. Czuję się tak próżnym jak bęben.

Każde z nich to zdanie podzielało. Zegarek po mocnem potrząśnieniu okazał, iż blizko była trzecia godzina, nie było to zawcześnie, by wyjść na miasto. Grzeczna służąca oddała im wszystkie drobne usługi jakich potrzebowali. Pobiegła bez kapelusza na ulicę Washington, wyszukała omnibusa, poumieszczała w nim dzieci, i zaprosiła Ben'a, żeby wrócił później, jak pan Jones będzie w domu. Ben mówił, że to była teraz kolej jego kuzyna odwidzić go ze swoją żoną; rozstali się dobrymi przyjaciołmi.

— Gdzie wysiądziemy? — zapytała pani Ben.

— Nie wiem gdzie, daję słowo. Możesz pan nas wysadzić gdzie pan zechcesz — rzekł Ben do konduktora.

Ten się uśmiechnął, pokiwał się na jednej nodze i zapytał:

— Jakiż jest cel państwa?

— Zjeść gdzie obiad, jeśli jest na to sposób — odpowiedział Ben — może pan znasz jaką restaurację na swojej drodze.

— Niewątpliwie.

— Niech pan się zatrzyma przed którą z nich.

— Najbliżej jak tylko można S p a c e r u — rzekła pani Ben — bo dzieci nie będą mogły długo iść piechotą.

Konduktor zatrzymał konie przez wielkim magazynem cukiernika.

Lody poziomkowe, ciastka, cukierki, słodycze rozmaite przystrajały okna. Wodotrysk spadający z cichym szmerem w marmurową miednicę, pełną rybek złotych, zwrócił naprzód ich uwagę. Dzieci krzyczały z radości. Ben narobił prawie tyle hałasu co i one.

— Otoż to przechodzi wszystko, co tylko Pan Bóg stworzył! W życiu mojem nie widziałem nic podobnego! Co za śliczne małe stworzenia! a ta woda co wytryska wprost z pod podłogi!

— Zapewnie jest źródło w lochu — rzekła spokojnie pani Ben.

— Tak i ja przypuszczam — odrzekł mąż.

— Co państwo sobie życzą? — zapytała ładna panienka z długiemi kędziorami.

— Dalibóg! sam nie wiem dobrze... Cóż tu macie?

— Lody z wanilią, z cytryną, z poziomkami i z ananasem, do wyboru.

— Nic nie znam z tego wszystkiego. — Czy jest fasola ze słoniną? Chciałbym zjeść obiad, bo ginę z głodu

— Nie ma fasoli ze słoniną.

— A! nie macie fasoli ze słoniną.

Ben nie wiedział co ma żądać. Spostrzegł wtedy, że salon był pełen ludzi dobrze ubranych i kontent był, że miał na sobie ubranie niedzielne. Panienka o długich kędziorach czekała na jego rozkązy.

— Otóż... — rzekł Ben, czując, że trzeba coś powiedzieć.

— A! to mój mały! — zawołał za nim miły głos, który on poznał natychmiast. Obrócił się i ujrzał ową damę z wagonu.

— Jak się pani ma? — zapytał, podając jej swą ogromną, czerwoną rękę, która z łatwością zmieściłaby z pół tuzina takich małych rączek jak ta, którą mu podała. — Jak się pani ma? — Ben śmiał się, żona jego śmiała się, dzieci śmiały się także. Wszyscy byli kontenci. Serca ich były podbite tym głosem sympatycznym.

— Nie spodziewałam się państwa tu zastać — rzekła dama.

— Ani ja — odpowiedział Ben. — Wszedłem tu, żeby się przekonać, czy nie znajdziemy co do jedzenia. Jeszcześmy nie objadowali. Kuzyna nie było w domu.

— Ach! to mi przykrość sprawia prawdziwie... Wszak macie i restaurację, nieprawdaż? — zapytała panienkę o długich kędziorach.

— Tak, w tamtym salonie — odpowiedziała panienka o długich kędziorach i wyszła.

Dama zaprowadziła naszych przyjaciół do sali, gdzie było kilka stolików nakrytych z wielką elegancją, przysunęła dla nich krzesła. Posługacz w białym fartuchu zbliżył się do nich.

— Oto karta restauracji — rzekła dama do Ben'a — niech ją pan przeczyta i wybierze co pan woli.

Ben czytał powoli i głośno. Doszedł wkrótce do jakiejś potrawy francuzkiej, której nazwę wymówił tak dziwacznie, że posługacz nie mógł się powstrzymać od śmiechu na całe gardło. Ben spojrzał mu prosto w oczy i zaczął się z nim razem serdecznie śmiać.

— To jakieś źwierzę o którem nigdy nie słyszałem! — rzekł. — Dajże mi świeżej wieprzowiny z kartoflami. — Pani Ben wybrała kawałek kurczęcia. Dama ich ostrzegła, żeby radzili się karty nim każą co podać, bo tym sposobem będą wiedzieli naprzód co ich każda porcja kosztować będzie. Gdy nasi przyjaciele wygodnie się już poumieszczali, dama pożegnała ich. Ben zechciał pić. Nie wiedział gdzie nalać wodę, bo szklanki były zapełnione serwetami ułożonemi w kształcie kwiatów, które były podobne do białych piwonji.

— Hop! hop! — zawołał. — Bądź łaskaw przynieść nam kilka misek, żeby było w co ponalewać wodę do napicia się.

Posługacz wyjął śmiejąc się serwety, i napełnił wodą szklanki.

— O! to szkoda psuć takie ładne figelki! — rzekł Ben.

Ben i jego żona zapomnieli o radzie nieznajomej i nie pomyśleli o tem, by się przekonać o cenie potraw, które kazali podawać. Apetyt ich wzmagał się przy jedzeniu. Było tam wiele dobrych rzeczy, których codzień mieć nie mogli. Znęcił ich pasztet z gołąbków, rak morski...

Ben kazał dać żonie filiżankę herbaty, w końcu zażądali mleka dla dzieci. Posługacz spełniał ich rozkazy z wielką grzecznością i nigdy nie dał im czekać na siebie.

Ten suty obiad skończył się jak wszystko na tym świecie. Dzieci nawet były nasycone. Ben wyjął z kieszeni swoją starą sakiewkę i zapytał o swój rachunek.

— To dwa dollary panie.

— Dwa dollary! — zawołał Ben.

— Dwa dollary! — powtórzyła żona.

— Tak panie.

— Ale my nie wydajemy więcej w domu przez cały tydzień — rzekł Ben — licząc już na Tim'a i na Dob'a.

— Wszystkie ceny znajdują się na karcie — rzekł posługacz śmiejąc się mimowoli.

— To prawda! — rzekł Ben; — dama nas ostrzegła, ale zapomniałem o tem najzupełniej. Zobaczmy jak to wypada wasz rachunek.

Ku wielkiej pociesze obecnych Ben odczytał kartę, dodając komentarz do ceny każdego szczegółu.

— Filiżanka herbaty sześć centymów i ćwierć! wierzę dalibóg! że się zbogacicie w tym handlu. Filiżanka mleka sześć centymów i ćwierć! jedna filiżanka mleka! A do djaska! na ileż rachujecie ten garnuszek coście nam przynieśli?

— Było cztery filiżanki panie, to znaczy ćwierć dollara — odrzekł służący.

Ben i żona jego pozostali niemi przez chwilę; oblicza ich wyrażały największe zdumienie. Ben odzyskał pierwszy władzę mowy.

— Ten mały garnek mleka! Do licha! jeśli zechcecie przyjechać do mnie z waszymi cebrzykami, dam wam pełny cebrzyk mleka za tę cenę, i dobrze zarobię jeszcze. Ćwierć dollara za ten mały garnuszek! żono!

Ben skończył na tem, iż uznał to za rzecz zabawną i rozwalił się w swoim fotelu, budząc echa sali jadalnej potężnym śmiechem. Zapłacił następnie dwa dollary bez innej uwagi jak ta:

— Szczęściem, czwartego lipca nie codzień bywa.

— Nie mamy potrzeby zostawiać rzeczy za które płacimy — rzekła pani Ben — i dobrze zrobiemy, jeśli zabierzemy te skórki z chleba dla dzieci, za kilka godzin będą im bardzo rade. — Posługacz się nie sprzeciwiał, więc skórki chleba schowane zostały do worka.

Z pełnym żołądkiem, lecz z lżejszą sakiewką, przyjaciele nasi wyszli z restauracji, i wędrowali przez ulice, napełnione tłumami ludzi. Pani Ben obawiała się co chwila, by nie została wywróconą i podeptaną nogami. Ben niósł chłopczyka, a żona jego tak się lękała zgubić córeczkę, że niosła ją także przez większą część drogi. Dzięki radom nieznajomej damy, letnia suknia nabytą zo-

stała za tanią cenę, a to jedno kupno było korzystnem. Na wszystkiem zresztą nasi poczciwi parafianie dali się oszukać, płacąc grubo za nędzoty, i wierząc w prostocie ducha, każdemu słowu kupców. Ben nigdy dotąd nie wchodził do żadnego sklepu bostońskiego, jakżeby mógł znać ceny, on, który zazwyczaj płacił za swoje sprawunki jajami i masłem?

Słońce zniżało się w końcu w swoim palącym biegu, i promienie jego przygasały. Zniżało się szybko do widnokręgu; słudzy jego biegli na spotkanie swego władcy, ubrani w złoto i karmazyn. Znikło w całej swej chwale, a miły zmrok wieczorny ze swą świeżą rosą nastąpił na jego miejsce, by ożywić wyschłą ziemię. Tysiące głosów powitało go z uniesieniem. Ben i rodzina jego należeli do najpierwszych, którzy zdążali do miejscowości, gdzie się miał ukazać fajerwerk. Jednak rozmaite sprawunki zaprowadziły ich do części miasta dość oddalonej, i byli zmuszeni do przebycia długiej drogi, nim się dostali do Spaceru. Dzieci schylały główki od znużenia, a rodziców utrzymywała jedynie na nogach myśl fajerwerku. Wkraczając na ulicę Zwierzyńca, Ben popatrzył na swój zegarek. Poczciwiec był się zatrzymał zaledwie na kilka minut przedtem. Ben zauważył, iż ślicznie spełniał swój obowiązek, to też wstrząsnąwszy nim trochę w sposobie zachęty, nakręcił go i włożył swój łańcuszek, żeby się wydał korzystnie. Miał zręczność później przypomnienia sobie tych szczegółów.

Spacer był napełniony wielkim tłumem. Niepodobna było naszym przyjaciołom zbliżyć się do sadzawki o tyle, żeby mogli robić swoje wnioski nad pochodzeniem tajemniczej fontanny; musieli się więc tem zadowalniać, iż patrzyli na wodotryski wznoszące się nad poziomem niezliczonych głów ludzkich.

— Czy nie moglibyśmy usiąść? — zapytała pani Ben — nie mogę ustać na nogach nawet dla miłości wszystkich bostońskich fajerwerków.

— Idzie o to by znaleźć miejsca — rzekł Ben. — Otóż widzę ławkę na drugim końcu Spaceru, a ponieważ to miejsce wolne, zabierzmy je. Sztuczne ognie tem piękniej wydadzą się nam zdaleka, i nie będziemy się lękać żadnego wypadku.

Ta zdrowa uwaga pobudziła panią Ben do pośpiesznego kroku, usiadła też na ławeczce najdalszej.

Tak umieszczeni, podzielili swą uwagę między tłumem niespokojnym i zmęczoną swą dziatwą. Czas przeszedł szybko. Dzieci płakały, napchano ich ciastkami i cukierkami. Gdy przestały jeść, zaczęły płakać znowu, pospały się, znów się przebudziły, wzięły się do płaczu napowrót i prosiły się do domu. Jaką przyjemność mogły znaleźć ich znużone oczęta w widowisku stucznych ogni? Spokojny sen w ich łóżeczkach stosowniejszy był dla nich w tej chwili, jak wszystkie widowiska świata.

— Kontentą będę jak to wszystko się skończy — rzekła pani Ben — te dzieci zaczynają na dobre dokuczać.

— Zaraz widowisko się zacznie — odpowiedział Ben. — Daj mi malca, będę z nim spacerował.

— Nie wiem doprawdy, jak ty wytrzymujesz do tej pory, moje nogi muszą być opuchłe od chodzenia po tych kamieniach.

Podczas gdy Ben spacerował wzdłuż i wszerz kołysząc na rękach swego młodego dziedzica, jakiś człowiek, który stał nie daleko i świstał sobie, podniósł głowę do góry mówiąc:

— Jestem pewien, że będzie za chwilę...

— Co? — zapytał Ben.

— Ulewa.

— Do djaska! — zawołał Ben zatrzymując się i spostrzegając dopiero czarne chmury gromadzące się nad nimi. — Na to wygląda, jednak być może, że wiatr to rozpędzi; mam jeszcze nadzieję, że nie będziemy moknąć takiego dnia, jak czwartego lipca.

— O! te chmury nie rozejdą się nie skąpawszy nas należycie — odpowiedział sąsiad.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, wiatr zerwał się nagle i pochylił wierzchołki najdumniejszych wiązów; dmuchnięcie jego gwałtowne było jak oddech krótki i pośpieszny, grzmot zahuczał głucho w oddaleniu. Wybiła ósma godzina i wśród niezmiernych oklasków, które pokryły głosy wiatru i grzmotów, wzleciała do góry raca, za którą wzniosła się druga. Burza zbliżała się szybko; stare wiązy gięły się pod jej naciskiem, błyskawice rozdzierały oponę chmur. Nagle huk piorunu rozległ się przerażająco nad tłumem zdziwionym. Jakby to było hasłem otwarcia szluz niebieskich, natychmiast zaczął deszcz lać potokiem. Przez chwilę po niemem przerażeniu, nastąpiło zamięszanie nieopisane. Tłum rozpierzchnął się w okamgnieniu. Popychano się, padano, mężczyźni śmieli się, kobiety krzyczały, dzieci płakały. Po każdej błyskawicy, nastąpił straszny huk piorunu.

— Otoż z pewnością najsławniejsza burza jaką kiedy widziałem! — rzekł Ben po drugiem uderzeniu piorunu. Trzeba się pożegnać z fajerwerkami.

Do tej chwili patrzał na tę rozsypkę z ciekawością, bo był dość oddalonym od tłumu; lecz teraz ten przypływ żywy zbliżał się do niego, zmuszonym był więc opierać się dzielnie, by ochronić od szkody swoją małą gromadkę. Wziął dzieci swoje na barki, gdy żona czepiła się całą siłą jego ramienia, i stawiąc pierś swą przeciw falom ludzkim poprowadził swoich w stanie zdrowia i całości do bezpiecznego kątku. Tam zatrzymał się przez chwilę by odetchnąć i pomyśleć nad tem co robić dalej.

Pani Ben płakała, dzieci płakały także.

— Nie wrócimy żywi do domu — rzekła pani Ben — ja zmokłam do kości.

— Trzeba mieć trochę więcej odwagi — odrzekł Ben. — Nie długo to już będzie padał deszcz taki ulewny, zresztą letni deszcz nigdy nikomu nie zaszkodził.

— Jednak ja doznaję dreszczów.

— Zanadto boisz się zimna. Siądź pod tem drzewem, nakryję ciebie i dzieci moim surdutem.

— Zdaje mi się, że mogę zatrzymać się tu chwilę — rzekł jakiś miły głos tuż obok niego.

Ben zwrócił się szybko w stronę, zkąd ten głos dochodził. Zdawało mu się, iż go poznał, a pierwsza błyskawica okazała mu, że się nie mylił. Był to głos damy którą już spotkał był trzy razy. Jakiś pan jej towarzyszył.

— Chciałbym wiedzieć, czy to rzeczywiście pani? — zapytał Ben.

— A! Otož przyjaciele o których ci mówiłam — rzekła dama do swego towarzysza. Mogę pozostać bezpieczną koło nich, nim znajdziesz dla nas powóz.

— Bezpieczną! ma się rozumieć. Nie ma pan potrzeby obawiać się, zostawiając tu tę panią; nikt jej nic złego nie zrobi, póki będę od niej niedaleko, choćby w odległości wystrzału fuzji, — obiecuję to panu.

— Tak, ten pan będzie się mną opiekował. Sprowadź tu podróżny powóz, nie trzeba, żeby ci poczciwi ludzie szli piechotą do stacji w taką niepogodę, weźmiemy ich z sobą.

— Wzięlibyśmy powóz w każdym razie — rzekł Ben — moja żona jest bardzo zmęczoną.

Nieznajomy pan oddalił się. Ben posunął powoli swoją córeczkę, by zrobić miejsce dla damy.

— Chciałbym coś mieć, by panią okryć — rzekł. — Byłbym wziął parasol gdybym był przewidział, że taki deszcz padać będzie; ale zdaje się, że ulewa się zmniejsza. Dobry Boże! Czy pani nic nie ma innego na ramionach prócz tej chustki koronkowej? Porządnie pani zmoknie.

Tymczasem frak Ben'a miał już swe przeznaczenie, jak też chustka do nosa i krawatka. Szukał na sobie czy nie ma jakiej rzeczy, bez której mógłby się obejść. Ale nie znalazł nic innego jak kamizelkę, którą zdjął z siebie i rozłożył na ramionach damy.

— Otož — rzekł poczciwy Ben — zdaje mi się, że to panią zabespieczy od bolu gardła, w każdym razie mniej pani przemoknie. Niech się pani nie boi tej kamizelki; włożyłem ją czyściutką, dziś rano.

Pytanie jest czy dama nie byłaby wolała letni deszcz od kamizelki, którą Ben nosił pod swoim grubym błękitnym frakiem przez cały gorący dzień; bądź co bądź nie okazała bynajmniej wrażenia, któreby go urazić mogło w poczciwych chęciach jego. Trzeba powiedzieć jednak, że korzystając z ciemności, nie omieszkała podłożyć swą chusteczkę pod kamizelkę Ben'a.

Zajęci uspokojeniem dzieci i burzą, przyjaciele nasi zapomnieli o fajerwerku. Nie było o nim wcale mowy, chociaż upłynął czas niejaki nim podjechał powóz, gdzie z wielkiem zadowoleniem znaleźli w końcu schronienie.

Ben zaczął opowiadać historję swego obiadu, i jak go złapali garnuszkiem mleka, rakiem morskim, filiżanką herbaty i resztą. Zdawało się, że nicby nie było w w stanie wyczerpać jego wesołości; dama i jej towarzysz śmiali się do rozpuku.

— My tu wysiadamy — rzekła dama — rozkazawszy zatrzymać powóz.

— O! jakże mi to przykro — zawołał Ben. — Chciałbym, żeby pani odwiozła nas. Gdy pani będzie wracała od nas do domu, damy jej wielką ilość mleka, szczawiu i szpinaku.

— Niech pani przyjedzie — dodała pani Ben. — Czemuż by pani nie przyjechała?

— Odwidzę państwa niezawodnie, jeśli kiedy jechać będę przez wasze miasto. Dobranoc. A! otož kamizelka pańska, omal ją nie zabrałam. Bardzo panu dziękuję.

— To ja winienem pani dziękować. Dobranoc.

Nim się oddalił nieznajomy pan, rzekł do Ben'a.

— Furman zapłacony, nie zapomnij pan o tem.

— Nie trzeba było tego robić — odpowiedział Ben - lecz nim mógł powiedzieć co więcej, drzwiczki były zamknięte, nieznajomego pana nie było już widać, a furman wygramolił się napowrót na swój kozioł. Lecieli przez błotniste teraz ulice i wkrótce stanęli koło stacji.

Gdy zsiadł furman, trzymając w ręku worek Ben'a rzekł:

— Należy mi się pięćdziesiąt centymów panie.

— O co się upominasz? Widziałem na własne oczy, jak ten pan tobie zapłacił.

— Zapłacił tylko za dwie osoby, a państwa jest czworo.

— Dzieci trzymaliśmy na kolanach.

— Ja w to nie wchodzę. Taki u nas porządek.

— Nie damy ci nic, jesteś sławnym oszustem.

— Tak? niechże pan poszuka swój worek gdzieindziej — rzekł furman z krwią zimną siadając na koźle.

— Moja nowa suknia! i wszystkie nasze sprawunki! zawołała pani Ben. — Zapłać mu i niech sobie jedzie; znów tu zmokniemy.

— Wyglądasz mi, jakbyś należał do rodziny tego łotra, którego widziałem tu dziś rano — rzekł Ben, podając mu pół dolara.

Ostatni pociąg, który wyruszył z Bostonu wieczorem po sławnym obchodzie narodowym, złożony był z ludzi zasępionych i milczących. Każdy był zmoczony, znużony i zawiedziony. Ben wysilał się, żeby puścić w obieg kilka konceptów, ale nikt ich nie podniósł. Dzieci spały, a matka była zatopioną w zadumie. Myśli jej błądziły tam i sam, a głowa szła za niemi. Nie było już dla niej ani czasu ani przestrzeni. Większa część podróżnych była w tym samym stanie umysłu. Raptem świst pary wszystkich pobudził. Drzwiczki się odemknęły. Pociąg się zatrzymał. Burza przeszła jak sen, wiatr ucichł, a srebrzysty księżyc gonił jak król tryumfujący, wojsko małych chmurek, uciekających przed nim. Pod szopą jakby nie ruszał się od rana, znajdował się Dob, ucztując zawsze między pachnącemi ziołami. Tim spał w wózku.

Ben pomyślał o swoim zegarku, chciał się przekonać czy stary Dob będzie potrzebował tyle czasu do powrotu, ile do rannej podróży. Sięgnął ręką do jednej kieszeni, potem do drugiej, wrócił do pierwszej i szukał w samej jej głębi. Niema zegarka! znikł, znikł na zawsze... a był to zegarek dziaduniowy!

— Trochę późno dziś przychodzisz — rzekł pan Morton do Ben'a Jones. — I cóż, byłeś na uroczystości wczorajszej?

— Tak panie.

— Czy skaleczyłeś sobie rękę, że kopiesz tak sztywnie?

— Złapałem reumatyzm.

Ben kopał dalej, był w jednym ze swych rzadkich napadów małomowności. Pan Morton zostawił go aż do chwili, gdy kilka godzin pracy usposobiły go do zwykłego humoru. Gdy wrócił, zastał go bardzo towarzyskim.

— Byłeś wczoraj w Bostonie? — zapytał go znowu.

— W Bostonie? Byłem — odpowiedział Ben podnosząc oczy.

— I bawiłeś się dobrze?

— Czy bawiłem się? Jeśli to nie była najcięższa praca, którą odbyłem w życiu mojem, zgadzam się na to, by w tej chwili ducha wyzionąć.

— Jakto? miałeś żonę z sobą!

— Tak, żonę i dzieci, a gorecej było jak w piecu. Gdybyśmy byli długo na jednem miejscu, na pewno zgotowalibyśmy się. Dzieci płakały, i żeby je uciszyć, trzeba było je opychać do tego stopnia, że rozchorowały się.

— Ciężki to był dzień, rzeczywiście.

— O, ciężki dzień! — powtórzył Ben, kładąc motykę. — Nasamprzód malec zgubił kapelusz, co mię kosztowało dolara, potem odbyliśmy tęgą wycieczkę na to, by się dowiedzieć, że Szymon się wyprowadził, potem kłusowaliśmy pewnie milę drogi po piekących cegłach, żeby go znaleźć w jego nowem mieszkaniu. Nie było go w domu, więc wróciliśmy, żeby gdzie zjeść obiad, gdzie wzięli odemnie dwa dolary za garnuszek mleka i kilka innych małych rzeczy; potem biegaliśmy po sklepach z dziećmi na ręku, tak że nogi nam popuchły, a gdy już raz umieściliśmy się jako tako na Spacerze, niepogoda wszystko popsuła.

Ben począł znów kopać z zapałem.

— Przypuszczam więc, że nie widzieliście sztucznych ogni?

— Tak jak nie, bo tylko jedną małą racę, gdy wybuchła najstraszliwsza burza, jaką kiedykolwiek widziałem. Pewny jestem, że deszcz taki nie padał od czasu, jak kuzynowie Noego potopili się. Wyglądaliśmy jak gniazdo kacząt wrzuconych w wodę.

— I to jeszcze nie wszystko — mówił dalej Ben, który się stawał rozmowniejszym, widząc pana Mortona zainteresowanego jego opowiadaniem: — Deszcz zniweczył nasz niedzielny przyodziewek i nową suknię, którą moja żona kupiła w Bostonie, a co najgorsza, jeden z tych bostońskich jegomości wyciągnął mi z kieszeni dziadu-niowy zegarek. To prawda, że nie wiele był wart, ale moja żona wbiła sobie w głowę, iż go każe przerobić na łyżkę. Co do mnie, chętniebym go oddał, gdyby tylko złodziej zechciał mi pokazać, jakim sposobem ukradł go.

Pan Morton zaczął się śmiać tak serdecznie, że Ben mu zawtórował.

— Więc podróż twoja drogo cię kosztowała Ben'ie?

— Tak, to co zarobię w przeciągu miesiąca nie wynagrodzi mi pieniędzy, które ta podróż kosztowała, nie licząc tego, co weźmie doktor. Wszystko jakby się sprzysięgło przeciwko nam, wyjątkiem była tylko jedna wielka pani, którą spotkaliśmy. Była tak dobrą dla nas, jak tylko dobrą być można; bez niej ta wycieczka więcejby nas jeszcze kosztowała. Może ją pan zna, zupełnie jest podobną do Anny Shipman, tylko troszeczkę wyższa.

— Nie, nie znam jej.

— Nie uwierzy pan, jaka to piękna dama.

— Więc mało ci o to idzie, żeby pojechać na przyszły rok do Bostonu święcić czwarty lipca?

— O! wcale mi nie idzie o to, odebrałem porządną naukę, i nie prędko mnie tam zobaczą.

Koniec.

W pustyni.

(Przekład z Lenaua).

Torując sobie drogę przebojem
Po tej, śród życia dzikiej pustyni,
Krwią znacząc ciernie a piaski znojem! —
Czyliż nie płonne czyny się czyni?

A choć na piaskach zostaną żywe
Ślady, co nasze stopy wygniotą;
To wnet, jak sępy, zdobyczy chciwe
Nadciągną burze — ślady rozmiotą.

I samotników i karawany
Prze jakaś siła, gdzie spokój wieczny;
I wciąż się skłania las chorągwiany,
Kędy im świeci cel ostateczny.

I nas zbratanych, nieznana fala
Do tajemniczych niesie przystani;
Lecz skwar pustyni w duszy zapala
Pragnienie szczere zimnej odchłani.

I coraz żywsza rwie nas tęsknica,
Woła do grobu, woła z tej ziemi,
Która się nigdy dość nie nasyca
Krwią ani znojem, — ni łzy naszemi! —

Tatry i Beskid

przez

ŁUCJANA TATOMIRA.

Na całym obszarze ziem polskich są Karpaty najwyższemi, albo raczej jedynemi górami w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Ciągną się one lekko wygiętym ku północy łukiem od Brzetysławy (Preszburga) do Rzowy (Orsowy), odgraniczając się Dunajem od podgórzów Alp i Bałkanu. Ogromne to pasmo gór, liczące 120 mil długości, 20 do 30 mil szerokości, a zajmujące obszar 3000 mil kwadratowych, dzieli się na kilka pomniejszych gałęzi i gniazd. W granicach ziem polskich leżą jednak tylko północno-wschodnie stoki Karpat od źródlisk Wisły do Czeremoszów, t. j. Tatry, które tworzą główny, najwyższy tron skalisty całych Karpat, i lesisty Beskid, (zwany także Bieskidem albo Bieszczadem) połączony na zachodzie przecznicą Jabłonek z Bielawami i Małemi Karpatami a na południowym wschodzie wiążący się około źródeł Cisy z górami Siedmiogrodzkiemi.

W samym środku długiego łańcucha Karpat, pomiędzy 37° 10′ a 38° w. d. i pod 49° 13′ p. s., rozsiały się Tatry podłużnem gniazdem, licząc od wschodu ku zachodowi 7 do 8 mil, od północy ku południowi 2 do 3 mil i zajmując obszar 14 mil kwadratowych. Tatry stanowią grupę odrębną, odmienną co do wysokości, kształtów zewnętrznych i formacji geologicznej od reszty Karpat i odgraniczoną ze wszech stron rzekami i dolinami podłużnemi i poprzecznemi od sąsiednich pasm, gałęzi i gniazd tychże gór. Na północy ścieli się u podnóża Tatrów Dolina Dunajców, zwana także Doliną No-

wotarską albo Podhalem, a w części południowej, wyższej, odgraniczonej pasmem wapiennych skał, na północnym zachodzie dolina Orawy, na południu Liptowska, którą przepływa rzeka Wag, na południowym wschodzie Dolina Spiska zroszona Popradem. Od zachodu i wschodu tworzą granicę Tatrów, tam poprzeczna dolina należącej do Wagu Tepli, tu wyłom górski poczynający się u przecznicy Zdzjarskiej i łączącej się przez takzwaną Kotlinę z doliną Popradu pod Landek. Cztery pierwsze wielkie doliny Podtatrza rozdzieliły na dwa stoki pasma położych płaskowyżów, których wyniosłość, nie przewyższająca nigdzie 4200′, niknie obok wysokich szczytów Tatrów: północno i południowo-wschodni stok, którego wszystkie wody przez Poprad i Dunajec uchodzą do Wisły a z nią do Bałtyku, i północno i południowo-zachodni, z którego uprowadzają wszystkie wody Orawa i Wag Dunajem do morza Czarnego. Niższe pasma Karpat osnuły dokoła jakoby wałem owe doliny i tylko dwie ich rzeki główne, utworzywszy wyłom w tym wale, Dunajec na północy w grzbietach Beskidu poniżej Sącza, a Wag na ujściu Orawy w południowo-zachodniej stronie przez Tatry, połączyły Podtatrze z równinami Polski i z doliną Dunaju. W pośrodku, na podstawie wyniesionej w przecięciu do 3000′ na powierzchni morza wzbiły się nagle, jakoby wyspa skalista, szczerbate Tatry, zasilając graniczne swe rzeki mnóstwem pomniejszych rzeczek i potoków, które począwszy się z wysoko położonych jezior alpejskich, płyną przepaścistemi łożyskami i rozszarpują lity pień gór na malownicze wyłomy i wąwozy.

Jeografowie nazywają Tatrami (w dziełach cudzoziemskich centralnemi Karpatami) w ściślejszym znaczeniu tylko wschodnią wynioślejszą i szerszą część tej grupy gór, od zachodnich stoków Krywania do wschodnich stoków Łomnicy, w długości 4 mil od wschodu na zachód a w szerokości $2^1/_2$ do 3 mil od Szmeks na Spiżu do Jaworzyny i Zakopanego na północy. Jak długo Spiż należał do Polski, obejmowały więc jej granice całe właściwe Tatry i tylko zachodnia, niższa i węższa ich część, w książkowej terminologii zwana przedgórzem alpejskiej krainy Tatrów, leżała w Węgrzech.

Tatry, zbudowane z granitu i wapienia alpejskiego, wzbijają się do wysokości alpejskiej nad linię graniczną wieczystego śniegu i lodowców, która pod tą szerokością geograficzną przypada na wysokość 7849′ nad powierzchnią morza. Niemają one jednakże właściwych lodowców a przyczyną tego jest to, że trzon ich zbyt mała w szerokości zajmuje przestrzeń, i że szczyty ich nadto prostopadle strzeliły w górę. Wspólne wyniesienie środkowego grzbietu Tatrów, t. j. litych i niepodzielonych jeszcze mas, sięga w przecięciu do wysokości 6500′, samotne zaś, nagie szczyty granitowe wzbijają się jeszcze o 1500′ wyżej, a więc dochodzą do średniej wysokości 8000′.

Najwyższe piątro w wspaniałej budowie Tatrów, osadzone na wspólnym grzbiecie gronie, czubałki, szczyty, grzebienie i iglice nazywają Podhalanie Turniami. Kraina Turni przekracza blizko o 2000′ najwyższą granicę wegetacyjną kosodrzewu, a najwyższemi szczytami swemi wchodzi już w strefę wieczystego śniegu. Do szarych skał czepiają się tam tylko mchy, liszajce i nikłe porosty, a w zimnych, urwistych parowach leżą śniegi śniegów od zimy do zimy. Turnie ukształtowane są bardzo rozmaicie: niektóre mają zbocza prostopadłe jak ściany a wierzchy spłaszczone, lub grzbiety ostre i zębate jak piły, innych boki okryte są ogromnemi złomami głazów, jakoby ruinami zamków jakichś starożytnych, innych nakoniec szczyty zaostrzają się w spiczaste iglice, częstokroć ku jednej przechylone stronie i ścięte urwisto. Wszystko tam jest olbrzymie, strome, szczerbate, dziko poszarpane, ostre a nagie i martwe. Zbocza niektórych Turni, jak n. p. Krywania, wznoszą się do wysokości kilku tysięcy stóp, jednolitą ścianą, nachyloną pod kątem 50°—60°, co dla oka wydaje się spadzistością prostopadłą, niedostępną dla człowieka. Mniej wyniosłe skały wzbijają się spadzistszemi i jeszcze ścianami, nachylonemi pod kątem 70° a nawet 80°, do 200 sążni wysokości, jak n. p. skalisty stok Turni Opalonej ku dolinie Roztoki. Najwyżej wystrzeliły iglice Gerlsdorfu 8414′, Łomnicy 8342′, Kończystej wielkiej 8051′, Wysokiej 8021′, Krywania 7913′ nad powierzchnią morza. W około nich wzbija się nieprzejrzany las mniej wyniosłych Turni: Gewont (6015′ wysoki), Murań (5945′), Kończysta mała, Buczynowa, Granat (5427′), Kościelec, Świnnica (7315′), Wiercicha, Koprowa (6747′), Opalona (7044′), Wołoszyn, Pyszna, Rohacze i mnóstwo innych, a między niemi wiele takich, na których nigdy jeszcze stopa ludzka nie stała. Skalisty las Turni kończy się na zachodzie sterczącą nad doliną Orawską Siwą skałą i Magurą Orawską, na wschodzie zaś zamyka go rozłożysta Magura Spiska.

Lejkowate głębokie doliny, otoczone dokoła stromemi ścianami szarych, częstokroć czarnych prawie Turni, zalały wody, które powstają ze stopionych śniegów i ze źródeł na dnie ich bijących. Są to w Europie najwyżej położone jeziora alpejskie, zwane przez Podhalanów Morskiemi okami. Obfituje w nie szczególnie wschodnia połowa Tatrów po dolinę Zakopanego i Koprowy, gdzie liczą około 60 szyb wodnych rozmaitej wielkości. Do najczęściej zwiedzanych i opisywanych należy Morskie oko, położone na wysokości 4460′ w wyższej części doliny Białki, zwane także wielkiem jeziorem Rybiem. Jestto największe jezioro tatrzańskie, zajmuje bowiem obszar 56 morgów i 417 sążni kwadratowych. O kilka set stóp wyżej na południowy zachód od Morskiego oka leży Czarny staw 4986′, a na wschód od tego za Opaloną w wyższej części doliny Roztoki rozlało się długim rzędem Pięć stawów na wysokości 4966′. Do najwyżej położonych jezior tatrzańskich należą pięć małych jeziorek na zachodnio-południowym stoku Łomnicy na wysokości 6568′ i wyższe jezioro Felka pod takzwanym polskim grzbietem wyniesione 6099′. Głębokość tych jezior, których wody odznaczają się źródlaną przeźroczystością i czystością, nie jest jeszcze dotąd dostatecznie zbadaną: za najgłębsze poczytują Morskie oko, Czarny staw, najwyższy z Pięciu stawów i jezioro Popradu. W południowej części pierwszego z tych jezior znaleziono głębokość 36 sążni wiedeńskich. Niektóre z tych jezior, mianowicie na północnych i wschodnich zboczach gór otaczają tak wysokie i tak szczelnie zawarte dokoła skały, że ich wody zaledwie draśnięte codziennie przez krótką chwilę promieniami słońca, wiecznie są ścięte lodem.

Brzegi jezior tatrzańskich zasypują rumowiska, odłok skał, a czasami olbrzymie głazy, zerwane kędyś ze szczytów Turni. Niżej położone oplata kosodrzew i okrywają paszniste łąki, które górale zowią halami. Podesłane pod stopy turni, rozrzucone różnej wielkości płatami i smugami pomiędzy skały, tworzą Hale środkowy pas tej alpejskiej krainy. Pas ten łąk halskich, którego górna granica sięga miejscami wysokości 6500′ porasta niżej coraz bujniejszą roślinnością i przechodzi na niższych spłazistych wzgórzach dosyć nagle w bory i lasy, okrywające ciemnym swym płaszczem stopy Tatrów. Jest to tak zwana kraina Regli, niby cienisty przedsionek wyniosłego gmachu Turni, poczynający się po krańcach dolin podtatrzańskich, a wznoszący się najwyżej do 4800′.

Cudzoziemcy badacze (Szwed Wahlenberg, Francuz Beudant i Prusak Sydow,) przyrody zwiedzający te okolice, zgadzają się wszyscy na to, że charakterystyczną cechą Tatrów jest pustynność, przerażająca dzikość i tak gwałtowne, przepaściste poszarpanie litych skał, jak w żadnych innych górach europejskich. Podnoszą prócz tego jako właściwe tylko Tatrom znamiona: spiczastość i ostrość ich grzebieni i iglic, podczas kiedy granit zwyczajnie wzbija się w zaokrąglone czubałki. Brak właściwych, rozleglejszych i rozgałęzionych dolin górskich, wszystkie bowiem doliny tatrzańskie, szczególniej z południowego Podtatrza, wznoszą się na zastrzał, stromo proście pod sam wierzch grzbietu środkowego i nie rozwidlając się, podobne są do olbrzymich, przepaścistych wyłomów, o dnie nie przechodzącem nigdzie 100 sążni szerokości a zasypanem w kształcie wysokich terasów rumowiskiem skalnem i głazami, po których spływając potoki tatrzańskie, tworzą często wspaniałe wodospady jak n. p. wodospad Siklawej wody, 14 sążni wysoki, utworzony przez Roztokę. Ten brak rozleglejszych, podłużnych urodzajnych i zaludnionych dolin, w które tak obfitują Alpy szwajcarskie, to zwarcie się ich skalistych stoków w poprzecznych, głębokich wąwozach, nadaje właśnie tej całej krainie górskiej ową cechę pustynności i dzikości. Dolina Jaworzyńska, Białki, Zakopanego i Kościelisko, skąd wypływa Czarny Dunajec, są najznaczniejsze z dolin północnego stoku. Wyłączną cechą Tatrów jest oprócz tego jeszcze brak przedgórzów i nagłe, doraźne wzniesienie się skał do alpejskiej wysokości, szczególniej z południowych dolin Podtatrza, dalej zakończenie wszystkich dolin tatrzańskich w wyższych częściach lejkowatemi kotlinami, zalanemi wodami jezior alpejskich, nakoniec brak właściwych lodowców, które w Alpach szwajcarskich, o 4° bliżej ku południowi, jawią się już na wysokości 3900′ a nawet 3100 n. p. m.

Podtatrze, czyli owe cztery wielkie doliny Dunajców, Orawy, Popradu i Wagu, wydają się dolinami tylko w porównaniu do Tatrów i okalających je pasm Karpat, w rzeczywistości zaś są one wyżynami znacznej wyniosłości. Dolina Liptowska wznosi się do przeciętnej wysokości 1650′, dolina Spiska 2200′, dolina Orawy 1600′, Podhale 1980′ n. p. m. Biały i Czarny Dunajec łączą się pod Nowym Targiem na wysokości 1735′. Podhale w południowej swej części przewyższa więc o 20′ najwyższy punkt w równinach Polski po za obrębem gór płożony, t. j. 1961′ wysoką Łysicę, o 800′ prawie najwyniośléjsze miejsca płaskowyżu czarnomorskiego a o 1000′ wierzchowiny u źródeł Dniepru, Dźwiny i Wołgi.

Od zachodu i północy opasuje dolinę Nowotarską Beskid kilkoma lesistemi łańcuchami gór, które od przecznicy Jabłonek na Szląsku aż po Babią górę, wyniesioną 5448′, zowią Beskidem zachodnim. Tu przestając być działem wód, otrzymują pasma Karpat nazwę Gorca i wyginają się więcej ku południowemu zachodowi wzdłuż lewego brzegu Dunajca aż do wioski Maniowy, gdzie dosyć nagle zwęża się dolina Dunajca pomiędzy stromemi ścianami Pionin o bladoróżowych szczytach. Środkiem Pionin żłobi sobie Dunajec od Czorsztyna wązki, słynny z malowniczości wyłom, którym upływa poniżej Krościenka około Jarowska w obszerniejszą dolinę, i zwróciwszy się ku północnemu wschodowi, łączy się pod Sączem z Popradem, który przerwawszy na przestrzeni pięciomilowej w poprzek wszystkie pasma Karpat, uchodzi doń od prawego brzegu. Od wioski Muszyny na prawym brzegu Popradu, przechodzi dział wód znowu na główne pasmo gór, którym wraca ogólna nazwa Beskidu. Rozszerzają się tutaj góry najdalej ku północy, ale równocześnie poprzerywane rozległemi, często podmokłemi dolinami podłużnemi, środkiem których snuje się mnóstwo strumieni, tracą na wysokości, płyną jakoby w lekkich falach nie kończąc się nigdzie ostremi liniami, i dlatego nazywa je tutaj lud Beskidem Niskim, albo króciej Działem.

Od źródeł Sanu zwracają się góry więcej ku południowi, zmieniając zarazem swe kształty: wznoszą się one odtąd coraz wyżej, zbocza ich spadają prostopadlej i zwierają się ciaśniej, wierzchołki poczynają się ogołacać z lasów i albo zasypują się rumowiskiem zwietrzałego piaskowca, albo porastają wysokiemi trawami, tworząc górskie łąki, czyli takzwane Połoniny. Jest to już stoczystość czarnomorska Beskidu, która w porównaniu z bałtycką, cechują mniejsze i mniej liczne doliny poprzeczne i znacznie mniejsze obfitości wód. Część tę Karpat nazywają Beskidem Szerokim, który się kończy u źródeł Prutu Czarną górą, wznosząca się dziewięciu szczytami swemi prawie do wysokości alpejskiej Tatrów. Wysoko położone okolice, gdzie Beskid Szeroki w oddzielne, wyniośléjsze wzbił się cypliska, zowie lud Werchowiną, a te pasma Werchowiny, które pokryły głuche bory szpilkowe, Czarnym lasem. Poniżej Czarnej góry u takzwanego Rozrogu, pomiędzy źródłami Czeremoszów, Suczawy, Mołdawy i Cisy, tracą pasma gór normalny kierunek wschodnio-południowy a zarazem i nazwę Beskidu, i opuściwszy ziemię polską, dzielą się na Bukowinie i w Siedmiogrodzie na wiele rozmaicie krzyżujących się gałęzi.

Cała długość Beskidu w granicach polskich ziem wynosi 80 mil; szerokość dochodzi 10—15, a wraz z Podgórzem 20 mil. Miewa on 3—6 pasm głównych, równoległych z grzbietem środkowym, który od źródeł Wisły do Babiej góry jest wyższy, dalej zaś niższy od pasm bocznych. W zachodniej stronie dochodzi Beskid do przeciętnej wysokości 5000′, w środku opada do 3000′, a w południowo-wschodniej stronie podnosi się znowu do wysokości 6000′.

Ku rozścielonym u podnóża gór dolinom Wisły i Dniestru, spada Beskid łagodnie zniżającemi się stopniowo podgórzami, połączonemi z nim przez rozgórze, t. j. ostatnie wyniosłe pasmo gór. Linia graniczna całego podgórza Beskidów bieży od ujścia Olszy i Opawy do Odry po pod Skoczów, Kraków, Bochnię, Wojnicz, przez okolice Pilzna, Rzeszowa, Łańcuta, Jarosławia i Radymna ku Przemyślowi, dalej wije się koło Starego Miasta, Drohobycza, Bolechowa i Rożniatowa ku Nadwórnie i Bohorodczanom.

Podgórze Beskidu zachodniego opada dosyć nagle z Beskidu 1200′ ku dolinie Wisły, i skalistą ścianą Krzemionek odcina się prawie pionowo na brzegu Wisły naprzeciw Krakowa. Przerzynają je mnogie po większej części poprzeczne doliny: górnej Wisły, Biały wiślanej, Soły, Koszarawy, które to dwie ostatnie łączą się w obszerną kotlinę Żywiecką, wyniesioną około 1200′, dalej doliny Skawy, Raby i Dunajca poniżej Sącza. Podgórze Niskiego Beskidu sięga najgłębiej w kraj, przechodząc spłaszczonemi pagórkami w równiny i odgraniczając się nagłym spadkiem tylko w okolicy Tarnowa górą św. Marcina i w okolicy Wojnicza, górą Panieńską. Przesnuwają je liczne, rozległe w większej części podłużne doliny Wisłoki, Sanu, Wisłoka i uchodzących do nich pomniejszych rzek, tworząc miejscami, jak n. p. pomiędzy Sanem a Wisłokiem obszerne międzygórskie równiny, poprzegradzane pasmami falistych pagórków. Wszystkie te doliny przekroczywszy graniczną linię podgórza spływają się w jedno z wielką doliną Wisły, która połączywszy się z doliną dolnego Sanu zajmuje od zachodu ku wschodowi obszar 48 mil, od południa ku północy 12 mil.

Podgórze Szerokiego Beskidu, należące już do stoczystości czarnomorskiej, trzyma się bliżej głównych pasm gór, nie zajmując tak szerokiej przestrzeni, ale zato wznosi się do znaczniejszej wysokości, już to w kształcie terasów, już też długich, wązkich cieklin, które wyciągnęły się wzdłuż brzegów większych rzek górskich. Ku dolinie Dniestru, ciągnącej się równolegle do kierunku głównego łańcucha Karpat, opada ono łagodnie, kończąc się podcrwanem brzegowiskiem opodal brzegu Dniestru. Podgórze to niema ani tyle, ani tak rozległych dolin podgórza stoku bałtyckiego. Dolina Synowódzka, gdzie się Opór łączy ze Stryjem, należy do najrozleglejszych. Doliny Świcy, Łomnicy i obu Bystrzyc rozszerzają się dopiero na ujściu do doliny Dniestru. Doliny Prutu i obu Czeremoszów zamykają tę część podgórza Beskidu od południa.

Korespondencje.

Paryż — *18. lipca 1868.*

Do przeglądu pism czasowych polskich, jakie redakcja „Nowin“ podała w kilku numerach swego pisma, chcemy przyczynić się choćby krótką wzmianką o pismach, wychodzących po za krajem. Są one wszystkie polityczne, niemniej jednak należą do literatury perjodycznej, a najmniej znane w kraju, już to z powodu zakazu wpuszczania ich jak było dawniej (niewiemy jak jest dzisiaj), już znowu z abnegacji i obawy krajowców do tego wszystkiego co z emigracji pochodzi.

Emigracja polska niemniej stosunkowo wydaje pism, jak emigracje innych narodów, choć będąc tylko polityczną w najniekorzystniejszych postawiona warunkach finansowych, i w skutek tego pisma jej szczupłemi bardzo funduszami albo i bez funduszów zakładane, długo utrzymać się nie mogą, upadają. Na to miejsce powstają inne, także nie pewne jutra.

Bardzo zajmującym byłby przegląd historyczny publicystyki emigracyjnej od lat czterdziestu, ale wątpić wypada, czy się kiedy takowego doczekamy. Już dziś połączonem to jest z ogromnemi trudnościami, żadna biblioteka połowy ich nie posiada, największy zbiór posiada Leonard Chodźko; zbiera je policja francuzka i chyba ona dostarczy nam w przyszłości tego materjału do historji.

Dziś istnieją cztery pisma perjodycznie lub nieperjodycznie się ukazujące. Najstarszym jest „Głos Wolny“, który zastąpił „Demokratę“ w 1863 roku. Po rozbiciu się Towarzystwa demokratycznego w 1848 roku, szczątki takowego utrzymały się i podtrzymywały się jeszcze do powstania 1863 roku. Były to już słabe ostatki, których objawem był „Demokrata“, przeniesiony do Londynu i wydawany przez Centralizacją towarzystwa demokratycznego, w 63 roku zmienił tytuł i odtąd, pod nazwą „Głos Wolny“, wychodził pod redakcją Wincentego Mazurkiewicza, człowieka otoczonego największą powagą całej emigracji dawnej. Przed dwoma miesiącami Mazurkiewicz usunął się z redakcji, a takową objął Antoni Zabicki, dawny członek Centralizacji i współredaktor „Demokraty“ i „Głosu Wolnego“. Zmiana redakcji nie wpłynie na opinje dziennika. Jest on podtrzymywanym przez weteranów Towarzystwa demokratycznego, ludzi nawykłych do porządku; i temu tylko zawdzięcza to pismo swoje stosunkowo długie istnienie. „Głos Wolny“ zawsze pozostał wiernym zasadom demokratycznym, nigdy z drogi obranej nie zbacza i mógłby służyć za najlepszy wzór dla wszystkich pism politycznych Galicji i Poznańskiego.

Ale jeżeli wypada oddać zasłużoną pochwałę pismu wypowiadającemu najpostępowsze zasady i przestrzegającemu ich ściśle, to z drugiej strony sprawiedliwość nakazuje wyznać, iż pismo to nie posiada dosyć uzdolnionych współpracowników, i między bardzo cennemi rzeczami, zamieszcza rzeczy mniej ważne albo nie dosyć wypracowane. Wina tego nie leży w redakcji, ale w położeniu wyjątkowem. Brak środków nie pozwala opłacać współpracowników, redakcja przyjmuje wszystko, co jej nadeszlą, byleby nie było sprzeczne z zasadami. „Głos Wolny“ zawiera obszerną rubrykę „wiadomości z kraju“, zwłaszcza z pod zaboru moskiewskiego, a na emigracji jest stróżem sumienia politycznego i dobrej sławy narodu. Karci wszelką zdrożność publiczną i wszelką zbrodnię na jaw wyprowadza ku ohydzie powszechnej. W skutek tego ma wielu nieprzyjaciół i jest osławiony, a ludzie w dobrej wierze powtarzają wymysły. I tak Kraszewski w „Rachunkach „powiada . . .“ a skandale któremi żyje taki naprzykład „Głos Wolny“, posuwający się aż do denuncjonowania nieprzyjaznych sobie ludzi — obudzają pogardę i wstręt. Ten organ wielkiego politycznego blagiera, (mowa o jenerale Mierosławskim), który dziś do nieboszczyków należy . . . . . . — dałby się chyba porównać z „Dziennikiem Warszawskim i śmiesiskiem jego korespondencji.“

Namiętne to wystąpienie, spowodowane fałszywą pogłoską, jakoby Mierosławski był redaktorem „Głosu Wolnego“ nie jest słuszne. „Głos Wolny“ odznacza się najzupełniejszą bezstron-

nością co do osób, a tylko walczy przeciwko działaniom wstecznym, bądź przez pojedyńcze osoby, bądź przez korporacje dokonywane. Wcale niezważając na to, czy to x czy z pisze, skoro pisze prawdę, otwiera szpalty swojego pisma dla każdego demokraty lub pokrzywdzonego; owoż nieraz i Mierosławski przez to pismo przemawiał. My, co tu znamy doskonale tak prywatne jak i publiczne w czterdziestoletnich pracach na emigracji nieskalane imiona rodaków, z bolem czytaliśmy sprawozdanie Kraszewskiego, na niczem nie uzasadnione.

Mamy przed sobą 179 z ostatniej daty numer „Głosu Wolnego,“ w którym czytamy: „Bez żadnego z naszej strony starania ani żądnia, ks. Mikoszewski (pisaliśmy o jego wycieczce do „Nowin“) złożył na podtrzymanie „Głosu Wolnego“ dnia 24. maja 1868 roku fr. 187½, których redakcja, zważywszy, że Mikoszewski niema prawa samowolnie rozporządzać funduszami zebranemi w imieniu Polski, i obracać je na cele inne, aniżeli te, na jakie przeznaczone były, nie mogła przyjąć, ale uznała za właściwe odesłać je tam, gdzie wszystkie sumy zebrane przez ks. Mikoszewskiego powinny być złożone, t. j. do kasy kom. Zjednoczonej emigracji polskiej.

Zapewne i z tego można zrobić zarzut, że „Głos Wolny“ chce się kłócić z ks. Mikoszewskim, wszystko można przekręcić jak chcąc, ale czyż nie jest to szczytny czyn redakcji, czyż nie piękne zasady, któremi się kieruje? Dodajemy, że redaktor tego dziennika jest zarazem drukarzem i zecerem.

„Głos Wolny“ pozostawia wiele do życzenia: wychodzi zbyt rzadko, zbyt w małym formacie i jest może nie zupełnie w porządku, ale redakcja robi wszystko co może. Jeszcze byśmy mogli zrobić jeden zarzut pismu, że za mało w niem życia, tylko że sroższe by je spotkały rarzuty.

„Niepodległość“ jest młodszą i więcej ma życia, a nie zawahamy się powiedzieć, lepiej redagowaną od „Głosu Wolnego,“ ale to zawsze w skutek lepszych okoliczności w jakich jest postawioną. W ciągu dwuletniego istnienia zmieniła trzy redakcje. Pierwszą miał Aleksandrowicz. Komitet zjednoczenia fundując to pismo dał redaktorowi środki, jakiemi nie każde pismo rozporządzać może. Redaktor, bez żadnych do tego zdolności roztrwonił znaczne sumy a pismo, tak jak jego redaktor nie miało żadnych zasad politycznych, było bezbarwnem, jednem się tylko odznaczało, że wszyscy współpracownicy wypowiedzieli wojnę Mierosławskiemu. Wojna ta była celem pisma. Usunięto redaktorów i redakcję powierzono Zygmuntowi Miłkowskiemu, który nadał pismu powagę i kierunek, ale mieszkając w Belgji, nie mógł dobrze dopatrzeć i dlatego zrzekł się redakcji, a Komitet zachował ją przy sobie, powierzając kierownictwo Stanisławowi Jarmundowi, który po dziś dzień jest redaktorem. „Niepodległość“ nie różni się w zasadzie z „Głosem Wolnym,“ — ten posiadający odpowiednie środki, — jest bowiem popierany przez Zjednoczenie emigracji, stowarzyszenie liczące do 1000 osób, — opłaca współpracowników i jak na pismo emigracyjne nie pozostawia nic do życzenia. Za słabą jest chyba rubryka wiadomości z innych części kraju oprócz Galicji, chociaż śledzi wszelki ruch w kraju, za to Galicją zajmuje się dokładnie; o wszystkiem wie co się tam dzieje i wszystko ze stanowiska demokratycznego ocenia. Gdyby w ten sposób zajmowało się i innemi prowincjami, byłoby lepiej.

W obu pismach brak wiadomości z ruchu literackiego; w tym względzie wszystkie pisma nie wypełniają swych rubryk należycie, a jeżeli to darowane w części pismom politycznym krajowym, nie może być przebaczone emigracyjnym, gdyż emigracja pism specjalnie literackich nie posiada.

Oprócz tych dwóch są jeszcze dwa: „Polska“ i „Krakus,“ które wychodzą nieregularnie. W ciągu sześciu miesięcy wyszło „Polski“ numerów dwa, a trzeci pod prasą. Pismo to nie wypowiedziało swoich zasad, z artykułów luźnych i napadów na wszelkie dążności demokratyczne widać, że będzie wstecznem, jeźli się utrzyma. Wydawanem jest przez Komitet reprezentacyjny, zostający pod kierownictwem ks. Zulińskiego. Komitet ten chce reprezentować emigrację, i pismo propaguje jego dążności do zlania się emigracji w jedną masę. Emigracja nauczona doświadczeniem kilkodziesięcioletniem, że takie zlanie się różnych żywiołów jest niemożliwe, nie popiera Komitetu i po dwuletniej pracy zaledwie uzbierał 300 ludzi.

„Krakusa“ wydaje tenże sam Komitet, jeden tylko piąty numer widziałem i nie ręczę, że inne istnieją; nie wspomniałbym nawet o nim, gdyby nie ta okoliczność, że jest wydawany w sposób dziwny. Jest to pismo nie drukowane, nie litografowane i nie pisane, zgadnijcie jakie? — Pikografowane! i wydawane w Londynie w pikografji polskiej. Zapewne nie widzieliście nigdy pikografji, bo to musi być świeży wynalazek; jest ona podobną do litografji, tylko że bardziej nieczytelna, najlepiej napisana, jeszcze jest nieczytelną, wygląda tak:

Pikografia

Zresztą treść pisma o ile z jednego numeru sądzić można, nic warta.

Dodać jeszcze wypada o nowo powstałem piśmie w języku francuzkim: „Le peuple Polonais organ democratie polonaise.“ Wychodzi w Genewie raz na miesiąc, każdego pierwszego, dotąd mamy za maj i czerwiec. Redaktorami ogłoszeni Szczęsnowicz i Brazewicz, ale publiczność chce widzieć ukrytego Mierosławskiego, co jest rzeczą naturalną, bo już publiczność przywykła widzieć go redaktorem lub autorem wszystkich pism demokratycznych, rewolucyjnych a nawet najsprzeczniejszych jego opinjom, komunistycznych, demagogicznych i t. d. Czy przychylne dla niego, czy nie, zawsze mu przypisują. Tym razem jednak nie ulega wątpliwości, że Mierosławski to pismo wspiera: bo są artykuły takiej doniosłości, że nikt inny nie potrafiłby napisać; mówimy o artykułach politycznych. Jak artykuł wstępny pod napisem „L'Europe et la Pologne“ polemizujący z dziennikarstwem europejskiem i wykazujący prasie przychylnej Polsce, że jest na błędnej drodze łudząc nas pomocą Europy, której Europa dać nie chce, nie może i nie da, a oraz wykazując, że naród jest wewnątrz silny i że siła jego spoczywa w ludzie.

Przekonanie powszechne mieni Mierosławskiego autorem tego artykułu i redaktorem pisma. Czy jednak tak jest, nie wiadomo; a on już z tego powodu został wyzwany na pojedynek przez szpiega moskiewskiego Młochowskiego, którego imie możecie znaleźć w „Dzienniku Warszawskim.“

Możnaby tu dodać jeszcze „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ — ale sprawozdanie z zeszytu na rok bieżący, podałem już wam dawniej.

Oto i wszystko, co perjodycznie dziś u nas wychodzi.

A. D.

Rozmaitości.

* We Lwowie pojawić się ma wkrótce nowe czasopismo pod tytułem: „Wiadomości z dziedziny stenografji, kaligrafji i typografji. Będzie to więc pismo ściśle fachowe, a wychodzić ma staraniem księgarni Seyfartha i D. Czajkowskiego.

* Z Sanoka zapowiedziano wydawnictwo nowego czasopisma politycznego. Pocznie wychodzić od 1. września pod tytułem „Reforma."

* „Artur Grottger, ustęp z dziejów sztuki pięknej," taki jest tytuł dzieła, które wyszło właśnie w Krakowie jako przedruk z „Kaliny." Autorem jest pan A. Szczepański.

* W Bydgoszczy wyszła ostatniemi czasy z pod prasy książeczka: Amerykanie, Sielanka dramatyczna w czterech obrazach — napisał * * Jestto rzeczywiście jedna z najlepszych rzeczy ludowych jakie się kiedykolwiek pojawiły w naszej literaturze, a nawet strona artystyczna jest przeprowadzoną wcale udatnie. Z kartki tytułowej dowiadujemy się, że ta sielanka dramatyczna przedstawioną była po raz pierwszy na amatorskiej scenie towarzystwa śpiewu św. Cecylii w Toruniu, podczas sejmiku gospodarskiego, 19. lutego 1868 r. Autor poświęca ją: Towarzystwom rolniczym włościańskim.

* W Berlinie u Behra wyszło: „O kurhanach na Litwie i Rusi Zachodniej" z atlasem o 16 tablicach, napisane przez hr. Konstantego Tyszkiewicza, który dla poszukiwań swoich robionych na gruncie, odbywał liczne podróże po różnych stronach Litwy. Są to więc nie książkowe, lecz oryginalne badania około tych nasypisk, odnoszących się do przedhistorycznych czasów, któremi zasiane ziemie leżące między Bałtykiem a morzem Czarnem.

* Po p. Lewińskim przybyli do nas w gościnne występy artyści sceny niemieckiej narodowej wiedeńskiej p. Meikser i panna Röckel. Żałować należy, że nasi artyści, zwłaszcza początkujący, nie mogą korzystać z tak dobrej sposobności nauczenia się czegoś, czego. niestety! — nauczyć się nie mogą sami z siebie... Nowoprzybyli goście są artystami pierwszorzędnymi w komedji i lekkim dramacie.

* Pan Lech Nowakowski bawi obecnie w Wiedniu i wystąpi wkrótce jako gość na jednej z większych scen tamtejszych.

* Publiczność lwowską cywilizuje obecnie panna Gallmajer z teatru Carla w Wiedniu. Liczba żądnych cywilizacji stanowi legjon.

* Pani Majeranowska wróciła z dłuższej podróży za granicą i udzielać będzie znowu lekcyj śpiewu.

* Jako osobliwość tego roku donoszą z Duisburga (w północnej prowincji nadreńskiej), że w okolicy tamtejszej rolnik pewien już 18. lipca jadł bułki ze świeżej pszenicy, czego najstarsi ludzie nie pamiętają. Dopiero około 24. sierpnia zwykli tam miewać świeże pieczywo pszenne. — Z Londynu, jako podobnie niesłychaną rzecz podają, że tamże 21. lipca sprzedawano pierwszy świeży chmiel.

* Szwajcarja od dawna sławna jest z fabrykacji zegarków; obecnie stan tego przemysłu stanowczemi został określony cyframi w sprawozdaniu z przeszłorocznej wystawy paryzkiej. W kantonie neufchatelskim wyrabiają rocznie 800.000 zegarków w wartości 35,000.000 fr., co czyni na jeden zegarek blizko 44 franków.; pracuje zaś nad tem 33.000 robotników płci obojga. Kanton genewski ma 7000 zegarmistrzów, wyrabiających rocznie 100.000 zegarków, w wartości 11,000.000 fr., więc jeden wart 110 franków; w kantonie Waad (głównie w Jouxthal) i berneńskim robi się około 300.000 zegarków rocznie, w wartości 10,000.000 fr., więc za 38⅓ fr. jeden. Cała produkcja zegarków w Szwajcarji wynosi 1,200.000 sztuk, wartości od 55 do 60,000.000 fr., co daje w przeciętniu na zegarek 50 franków. Połowa ogólnej wartości wyrobów jest w pracy robotników, których jest około 60.000, jeden zatem zarabia w przeciętniu 500 fr. rocznie. Byłoby to bardzo mało i mniemamy, że cyfry odnoszą się do samych tylko werków zegarkowych, a wartość zegarków kosztowniejszych, nie jest tu wliczona — a co policzono, to tylko po cenie fabrycznej a nie handlowej.

* W Algierji w Afryce francuzkiej znaleziono małą dziewczynkę napół nieżywą od znużenia i głodu. Gdzie twoi rodzice? zapytano ją. Dla czego cię opuścili? — Moja rodzina mieszka na stepie w namiocie; jest bardzo biedna, już od miesiąca żyjemy mięsem ludzkiem; wieczorem ojciec zaczaja się na przechodniów, zabija ich gdy może, a potem ich zjadamy. W przeciągu trzech tygodni zjedliśmy siedmiu, ale potem już nic nie było w namiocie i umieraliśmy z głodu. Wtedy słyszałam jak mówił ojciec, że mnie zabije, bo już nikt nie przechodził, a rodzina była liczna. „Z niej mówił ojciec, jeszcze pożyjemy dni parę." A że wiedziałam, iż wykona co powiedział, uciekłam, biegnąc i będąc bardzo słabą padłam na drodze, gdzie mniemałam że umrę, i gdzie mnie znaleziono. Śledztwo okazało, że historja opowiadana przez dziewczynkę była niestety prawdziwą.

* Pewien astronom twierdzi, że tegoroczne upały sprowadzone są jakiemiś nadzwyczajnemi zajściami na słońcu i w jego atmosferze, których dopatrzył przez szkła. Plamy słoneczne nabrały podobno całkiem nowych kształtów, powiększyły się znacznie, a jedna rozeszła się na dwoje, a potem znikła. Tyle o przyczynach upałów; o skutkach zebrać można daleko więcej szczegółów. W Moskwie palą się torfiska, grożąc Petersburgowi losem Sodomy i Gomory, ale p. policmajster Rüdiger oświadcza w „Gołosie", że niema niebezpieczeństwa dla miasta, bo żołnierze ogień odkopują, a od wielkiego magazynu prochu pożar najbliższy, o 8 wiorst jeszcze jest odległy. Tymczasem dym owych pożarów zaswędza miasta, kraje, morza, w Kołobrzegu nawet psuje zabawy kąpielowym gościom, a w Toruniu spowodował przynajmniej sprzeczki, czy jest pochodzenia moskiewskiego czy nie. W Berlinie upały przyniosły ulgę jednej z najnieszczęśliwszych klas ludzkości, bo aresztantom wojskowym, których powypuszczano do czasu, żeby w ciasnych celach nie poumierali. Tamże jakiś przemyślny gwałciciel natury, nasypawszy w pudełko z cygarów piasku i jaja kurze weń zagrzebawszy, w 19 dni doczekał się na słonecznym skwarze świeżych kurcząt, które tem się głównie różnią od wysiedzianych przez kurę, że daleko rychlej pić zaczęły same. W Poznaniu jakiś majster szewski i młode dziewczę, idący odwidzić krewnych, porażeni zostali od słońca: ona skonała zdoławszy ledwo siąść na krzesło, a szewc się zapamiętał i nożem poranił stróża, który go pilnować miał. W Anglji paliły się łąki, moczary, a nawet zboże na pniu.

* Projektowane jest postawienie pomnika Stanisławowi Jabłonowskiemu. Pomnik stanąć ma we wjadukcie nowej kolei Brodzko-lwowskiej we Lwowie w okolicy Murowanych Mostów kosztem konsorcjum księcia A. Sapiehy. Obrano to miejsce z powodu znalezienia przy budowie kolei wykopalisk, świadczących, że tam odparto Tatarów 1695 roku.

* Wybuch nitroglicyryny. Straszniejszy niż wszelkie wybuchy prochów i gazów, które się od wielu lat zdarzały, zaszedł wybuch nitroglicyryny w Belgii w Quenast, osadzie robotników, przy łomach kamienia pracujących. Nitrogliceryna, której siła wybuchowa przeszło sto razy większa jest niż prochu, i której było 1800 kilogramów (45 cent.), reprezentujących około 5000 cent. prochu, zamknięta była w pudłach blaszanych. Materja ta nie wybucha od ognia, ale od wstrząśnienia nawet niewielkiego; i zdaje się, że powodem wybuchu było nie dosyć ostrożne złożenie jednej ze skrzyń. Wybuch był straszny: magazyn, silnie zbudowany, pod którym skrzynie z nitrogliceryną składano, został literalnie w proch zamieniony, belki i sztaby żelazne zostały skręcone i porozdzierane; znaleziono jednę sztabę grubą, okręconą jakby bransoletkę około drzewa stojącego o kilkadziesiąt sążni od miejsca wybuchu. Zboże na polu w około, na znacznej przestrzeni zostało zmiecione; o kilka godzin drogi od miejsca wybuchu dało się uczuć gwałtowne wstrząśnienie, jakby trzęsienie ziemi i szyby popękały. Z osób siedmiu, będących, przy wyładowywaniu nitrogliceryny z wozu znaleziono tylko kawałki ciała nieliczne, kawałek czaszki i dwa guziki, jeden metalowy drugi kościany; dwaj ludzie, piłujący drzewo opodal, zniknęli bez śladu; z dziewczynki, będącej o 100 metrów od miejsca wybuchu, znaleziono tylko jedną stopę. Sztuka srebra pięciofrankowa znaleziona została, spalona prawie. Drzewa na kilkadziesiąt sążni w około zostały pogruchotane i ani jeden listek na nich nie został. Szczęściem jeszcze, że o tej godzinie mało kto był w bliskości; nikt więc prócz owych 10 ludzi nie zginął, ale mnóstwo pokaleczeniu uległo przy ruinie domów okolicznych, z których kilkanaście aż do fundamentów się wyruszyło i zwaliło. Właściciel fabryki nitrogliceryny poprzednio już przyjął odpowiedzialność za szkody materjalne, jakieby możebny wybuch wyrządził; zbyt był pewny że nic się nie stanie. Po opłakanej katastrofie przyjął na siebie wszelkie wynagrodzenia pieniężne — a rodzinom tych, którzy zginęli, zapewnił pensją dożywotnią w takiej ilości, jaką oni pobierali. Może w skutek tego strasznego wypadku i przekonania, że żadna ludzka ostrożność nie zdoła uchronić od wypadków podobnych do opisanego wyżej, minister belgijski spraw wewnętrznych miał zakazać używania nitroglicyryny, jak donosi jedno z pism belgijskich „l'Eecho du Parlament".

* W Monachium otwarto szkołę sztuk pięknych dla dziewcząt, sposobiącą je na rysowniczki wzorów do robót kobiecych, pomocnice w zakładach fotograficznych, litografiach, w wydawnictwach obrazków kolorowanych, w fabrykach malowanej porcelany itd.

* Do „Danziger Zeitung" donoszą o następującym nowym gwałcie, popełnionym przez władze rosyjskie na poddanym pruskim: „Prowadzący książki pewnego domu kupieckiego w Toruniu, udał się dnia 2. b. m. z rozkazu swego pryncypała do Nieszawy, ażeby odebrać tam pieniądze. W skutek nieuzasadnionej denuncjacji aresztował go tamtejszy burmistrz i odesłał dnia 3. b. m. do naczelnika wojennego w Radziejewie. Aresztowany, opatrzony w potrzebne papiery legitymacyjne, oskarzony był o przemycanie; rzeczywiście jednakże nic nie miał przy sobie prócz najpotrzebniejszych rzeczy do ubioru. W Radziejewie trzymano go przez całą dobę w więzieniu, pełnem obrzydliwych owadów, i dopiero dnia 4. b. m. wypuszczono go na wolność bez przesłuchania. Pryncypał jego zamierza zanieść na nieprawne to postępowanie zażalenie do wyższych władz i żądać zadość uczynienia." Berlińska „Post", powtarzając doniesienie „Danziger Zeitung", dodaje ze swej strony: „Jeżeli rząd pruski nie tak dawno temu, jak to organa półurzędowe z taką ostentacją donosiły, użył swego wpływu w Japonii na korzyść pokrzywdzonego pewnego obywatela pruskiego, to też nam się spodziewać godzi, że przecież nareszcie położony będzie koniec ciągłym dokuczaniom przez władze rosyjskie mieszkańcom z nad granicy Królestwa Polskiego."

* Założenie Poznania sięga czasów bajecznych, bo odnosi się do podania o trzech braciach Lechu, Czechu i Rusie, którzy zeszedłszy się jakoby na miejscu, gdzie Cybina wpada do Warty i poznawszy się, miejsce to Poznaniem przezwali. — Pod rokiem 968 za Mieczysława I. spotykamy to miasto w kronikach z okazji założenia pierwszego w Polsce biskupstwa. Bolesław Chrobry mając tu swoję stolicę w roku 1000 witał cesarza Ottona III. Wzrost miasta datuje się od roku 1240 za Przemysława I., który tu zamek zbudował. Tu w roku 1296 obiera szlachta księciem Władysława Łokietka. Wacław król czeski przybywa do Poznania roku 1300. Władysław Jagiełło gości razy kilka. Za bezkrólewia po Warneńczyku zajmują Tatarzy Poznań i Ruś. Największy wzrost miasta przypada na wiek XVI.; w roku 1567 liczy Poznań 1700 domów a 30.000 mieszkańców. Jan Olbracht, Zygmunt I. Henryk Walezy, Zygmunt III. odwiedzają Poznań, wielkie wyprawiając uczty z rozmaitych okazji. Wojny szwedzkie niszczą miasto. W roku 1655 Poznań poddaje się najezdcom i jest częściowo złupionym. Jan Kazimierz przemieszkiwał tu z żoną, ale dla morowego powietrza opuszcza miasto, które jedna za drugą klęski nawiedzają gromadnie. Szwedzi, Sasi, Moskale łupią Poznań i niszczą. Konfederacja barska i połączone z nią klęski dają się mocno uczuć miastu, które podnosi się dopiero w roku 1779. W roku 1791 uroczyście obchodzono tu akt konstytucji 3. maja.

Prusacy po raz pierwszy wchodzą do Poznania w roku 1793, w trzy lata później wkraczają Francuzi, przybywa Napoleon I. W roku 1815 Prusacy ponownie zawładnęli Poznaniem. Obecnie Poznań zalicza się do rzędu miast najpiękniejszych w Prusiech i zajmuje przestrzeń 1270 morgów i ma 45.143 stałych mieszkańców. Poznań oprócz kilkudziesięciu ulic ma trzy obszerne rynki a cztery place, pomiędzy którymi tak zwany plac Wilhelmowski największy, ma długości 680 a szerokości 250 stóp. Kościołów katolickich 14, klasztorów 4, kilka kościołów ewangielickich i 1 grecki. Z kościołów najgodniejszym widzenia jest katedralny, założony w roku 966 przez Mieczysława, którego zwłoki wraz z prochami Bolesława Chrobrego, Mieczysława II., Kazimierza Mnicha, dwóch Przemysławów i innych spoczywają w osobnej kaplicy, fundowanej przez znanego patrjotę Edwarda Raczyńskiego. W stylu bizantyńskim aż do szczegółów najdrobniejszych, zbudowaną jest ta kaplica przez Włocha Lanci z Rzymu, piękną mozaikową posadzkę układał Salandri Wenecjanin. Obrazy pędzla Suchodolskiego (Otton III. i Bolesław u grobu św. Wojciecha) i Brzozowskiego, malatura ścian Jaroczyńskiego. Znajdują się tu posągi Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego, dłuta Raucha z Berlina i piękny mozaikowy obraz, dar hr. Raczyńskiej, żony Edwarda. W kaplicach bocznych, których jest 11 w katedrze, znajdują się rzeczy godne widzenia. I tak w kaplicy św. Trójcy pomnik biskupa Adama Konarskiego, dłuta Canavexi, w kaplicy N. P. Marji stary wysoko ceniony obraz w ołtarzu w kaplicy św. Stanisława Kostki, również bardzo piękny obraz Zwiastowania, obadwa przywiezione tu z Paradyża. W kaplicy św. Krzyża piękny pomnik Andrzeja Górki i jego żony w stylu odrodzenia. W samym zaś kościele znajdują się pomniki Lubrańskiego (1499), Łukasza Górki (1475), Andrzeja Grodzickiego (1550), Andrzeja z Bnina (1470). Tuż przy katedrze znajduje się kościół N. P. Marji *in Summo* z wieku XV., którego mur zewnętrzny porąbany szablami udających się na wyprawę, gdyż wierzono, że to powodzenie oręża zapewnia. Najstarszym jest kościół św. Jana Jerozolimskiego, wystawiony w wieku XII.; w roku 1170 oddano go kawalerom maltańskim. Kościół farny należy do najciekawszych w Polsce, imponuje ogromem, wewnątrz mozaikowany. W wielkim ołtarzu piękny obraz pędzla Smuglewicza. Przed kościołem św. Marcina stoi znany z litografji posąg Adama Mickiewicza. Ratusz poznański zalicza się do najpiękniejszych w Polsce całej. Założenie jego sięga wieku XIII. Po kilka razy uległ zniszczeniu. Jedna z wież jego cudownej piękności runęła w czasie burzy w roku 1725. Miała w sobie dwa dzwony, z których pierwszy ważył 100, a drugi 175 cetnarów. Dzisiejszy front ratusza i sklepienia pierwszego piętra przypominają Watykan, w innych częściach przebija się styl gotycki. Na dawnej wieży stały posągi mitycznych Lecha, Czecha i Rusa. Trudno o coś bardziej wspaniałego jak wnętrze tego ratusza. Sklepienia ozdobione skulpturą i malowaniami, cudowna zgodność linij architektonicznych i poważny spokój w traktowaniu budowy zachwycają. Salę główną na pierwszem piętrze podzielono na dwoje w przewidywaniu niebezpieczeństwa, co jest szkodą nieodżałowaną, chociaż i dzisiejsze są imponujące. Sala posiedzeń jest ozdobiona malowaniami w guście tych, które zdobią jedną salę Watykanu; znajduje się tu posąg Stanisława Augusta naturalnej wielkości. Wysokość drugiej galerji na wieży ratuszowej dosięga 128 stóp nad poziom rynku. Pod ratuszem wodotrysk, ozdobiony posągiem przedstawiającym „Porwanie Prozerpiny." Fontana przypomina znajdującą się w willi Lodovizi pod Rzymem. Pałac Działyńskich ładny gmach czasów nie dzisiejszych. Odwach pruski z herbami Polski i domu Raczyńskich. Jeśliby uległ jakiejkolwiek zmianie, ma natychmiast być odebrany rządowi i przejść na własność prywatną. Stara Zbrojownia, budowa z wieku XVI., dziś własność prywatna. Gmach biblioteki Raczyńskich ozdobny rzędem pięknych kolumn kornyckich z lanego żelaza, na wzór takichże podtrzymujących dach Luwru w Paryżu. Miało tu być jeszcze przybudowane skrzydło dla pomieszczenia galerji obrazów, która jednak zatrzymaną została przez Berlin i tam się do dzisiaj znajduje. Biblioteką zawiaduje magistrat; w porównaniu z lwowską Ossolińskich, jest ona ubogą.

☞ W Administracji „Nowin" w drukarni K. Pillera nabyć można po zniżonej cenie: „Sioło" pismo zbiorowe, zawierające wybór najlepszych utworów pisarzy ukraińsko-ruskich, czcionkami łacińskiemi, rozmaite artykuły w języku polskim i nigdzie niedrukowane poezje *Bohdana Zaleskiego*, *Teofila Lenartowicza* i t. d. 12to arkuszowych zeszytów IV. Cena 4 złr. w księgarniach 5 złr.

Przed laty powieść P. Stachurskiego — **70** cent., w księgarniach **1** złr.

Znajduje się także pewna liczba egzemplarzy dodatków do „Nowin:" muzykalja pomiędzy któremi „Marche Imperial" osobno kosztuje **1** złr. **80** cent., kolorowane ryciny mód, wzory i kroje z opisami. Dla prenumeratorów „Nowin" — cena dotychczasowa: **2** złr.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.